



ROK LIX

BLUSZCZ

TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEĆ

№ 34

WARSZAWA, 21 SIERPNIA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: O tężyznę duchową — *Stanisława Ambroziewiczowa*. Jakie czytacie książki i jak czytacie książki (artykuł dla młodzieży i rodziców) — *Stefanja Szuchowa*. Na dalekim wschodzie polskim — *H. Trzy listy o Teresie* — *Wanda Pelczyńska* — *Maria Kuncewiczowa*. Z Turcji Odrodzonej (korespondencja własna *Bluszczu*) — *J. W. K. Wiersz: Łowcy* — *Jan Brzechwa*. Zielony śnieg — *Z. Reutt-Witkowska*. Panna Kamilcia (dokończenie) — *Cecylja Walewska*. Kiedy już będziesz duży — *J. Rymkiewicz*. Córką Boga (d. c.) — *Z. Zawiszanka*. Tajniki świata zwierzęcego (d. c.) — *Janina Maszewska-Knappe*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Kwiaty z piór. Odrodzenie peleryny. Polska współczesna. Jakie przymioty powinien posiadać mąż wzorowy. Przemysł ludowy na Wołyniu — *H. Ceysingerówna*. Obiady na maszynie — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię” — *Concha Espina* (autoryzowany przekład z hiszpańskiego T. Jakubowicza). Arkusz wzorów. Tablica krojów.

O TĘŻYZNĘ DUCHOWĄ.

W okresie przełomów dziejowych myśl ludzka staje czujna na straży tych bogactw doby minionej, które pragnie uchronić od zaguby i roztrwonienia, staje baczna wobec nowych ideałów, jakie naradzać się poczynają.

Bogactwo, wynikłe z powinowactwa dwu okresów przełomowych, bądź też powstałe z walki, jest zaczynem postępu i rozwoju dziejów ludzkich, zapewnieniem wiecznie trwałej zasady starego filozofa, że życie płynie.

Na czoło zagadnień chwili prawie zawsze i wszędzie wysuwa się dążenie do utrwalenia ideału człowieka silnego, skąd jeden krok tylko do spraw wychowania tego człowieka. Stąd słupem granicznym każdej nowej epoki jest sprawa z zagadnieniami wychowawczymi związana, niekiedy nowe horyzonty wychowawcze wysuwająca na czoło myśli i pragnień ludzkości.

Jeśli epoka dzisiejsza słusznie jest uważana za okres przełomu, to jakże jeszcze niewiele miejsca ma w życiu sprawa wychowania! Dlatego ważne jest rozważanie problemów, które charakteryzowały dobę minioną, a które stać się mogą podstawą dla nowych dni, jakich z utęsknieniem człowiek w swem przecuciu światłego jutra oczekuje.

Tedy chętnie myśl nawraca ku świetlanym postaciom dnia wczorajszego, rozważa, wysnuwa wnioski, a na refleksji zyskuje zagadnienie i ideał, tę postać charakteryzujący.

Kto z nas, pokolenia starszego, nie pamięta, ile rozgłosu czyniły w swoim czasie dzieła znakomitej szwedzkiej pisarki, Ellen Key?

„Stulecie dziecka“, „Matka i Dziecko“, „Trwonienie sił kobiecych“ i t. d. tak chętnie czytowane były przez młodzież ostatnich lat ubiegłego stulecia, tak

entuzjazmowały dusze, porywały umysły młode. Bo autorka „paradoksów“ umiała przemówić do duszy kobiecej swą wiarą, że kiedyś nadejdzie chwila, gdy pierwszą społeczno-etyczną kwestją będzie: „w jaki sposób nasz materiał ludzki możemy ochraniać i ulepszać“.

Ta troska o „ulepszanie“ natury ludzkiej powinna być naczelnem wskazaniem pracy naszej i na dziś.

Wielkie serce kobiecie niedawno bić przestało, ale już dawno Ellen Key pisać przestała. Przyszła wojna z jej strasznymi towarzyszkami: zanikiem moralności, zagładą duchowej kultury, cóż mogła mówić ta, która wierzyła w uśzlachetnienie natury ludzkiej?

Zamilkła — może myślała, że chwilowo, może wierzyła, że przyjdzie znów pora, iż walkę o zwycięstwo Dobra podejmie, bo wielkie serca wielką wiarę mają; tymczasem to wielkie serce bić przestało.

Ale to, co nam zostawiła w spuściźnie, warte jest przypomnienia dziś może bardziej, niż kiedykolwiek bądź indziej, dziś, w chwili przeogromnego ścierania się dwu sił, dwu światów — Dobra i Zła.

Każdy człowiek myślący musi nareszcie to zrozumieć, że jeśli nie chcemy, by kultura przyszłości cofnęła się z powodu ogólnego zwyrodnienia, to musimy głębiej wejrzeć w wychowanie młodego pokolenia, bo to, czem będzie to pokolenie przyszłe, stanowi „oś, koło której obraca się troska o wszelkie dobro społeczne“.

Lecz aby wychować moralnie zdrowego i pięknego człowieka, trzeba mu dać wiarę w siły własne i co za tem idzie konieczną świadomość odpowiedzialności za swoje własne czyny.

„Wiara w to, że człowiek jest nieodwołalnie ułomnym i grzesznym, sprawiła, iż takim pozostał. Je-

zeli zatem przyszłe pokolenie ma posiadać duszę prostą i jasną, należy nauczyć go rozwijać „potężnie i wysoko swą własną indywidualność, patrzeć na wzniosłe wzory, czcić boskość i prawidłowość świata w biegu, w rozwoju i duchu ludzkim“. Należy nauczyć przyszłe pokolenie tego oparcia się o własne wewnętrzne wartości, o to, co najczystsze i najlepsze w człowieku.

Nasz los, tak jednostek, jak i społeczeństw całych, polega na naszym pojmowaniu życia, na tej równowadze, którą „potrafimy osiągnąć pomiędzy tem, co jest nierozwiązalną zagadką nieba“, a tem, jaką na nią odpowiedź znajdziemy w swej duszy własnej. Każdy z nas może wznieść się na wyżyny życia cnotliwego, tylko trzeba dążyć do tego, aby do gruntu zmienić atmosferę życia naszego, aby samo powietrze tchnęło taką czystością, miłością prawdy, żeby, jak w owej cudnej krainie u Swedenborga, nie pozwalało kłamstwu opuścić ust.

Niech młode pokolenie nauczy się żyć w tej wierze, że nadejdzie chwila, „kiedy najmniejsze zło, jakiego chciano wyrządzić, opadnie do naszych stóp, jak kula ołowiana po tarczy brązowej i kiedy, mimo naszej wiedzy, zmienia się wszystko prawie w piękno miłości i prawdę“.

Lecz atmosferę taką wytworzymy tylko wówczas, jeżeli często „przewietrzać będziemy swoje życie i otwierać wrota innego świata“, t. z. damy młodemu

pokoleniu przeogromną wiarę w to, że każdy z nas w tajemnych skarbach swej duszy posiada bogactwa nieprzebrane, a przecież marnowane dlatego właśnie, że zbyt wiele chcemy od świata zewnętrznego, zbyt mało polegamy na sobie.

Dać młodemu pokoleniu świadomość pragnienia wydobywania pierwiastka boskiego z natury ludzkiej, dać wiarę w jedność natury ludzkiej z pierwiastkiem boskim, a jednocześnie nauczyć, że za wszystko, co robimy od najwcześniejszych lat życia swego, ponosić musimy odpowiedzialność, jako ludzie wolni, to znaczy wychować tego człowieka silnego, który potrafi czoło stawiać przeciwnościom życia, biorąc na siebie odpowiedzialność za wszystko, co dzieje się w tem społeczeństwie, w którym mu żyć wypadło.

„Warto ludziom przypominać, że nawet najmniejszy z nich ma zdolność wyrzeźbienia wielkiej moralnej osobistości“. O tę teżynę duchową, o wyrzeźbienie na wzór boski moralnego oblicza człowieka przyszłości walczyła Ellen Key.

O tę teżynę duchową woła ludzkość w dobie obecnej, tej teżynny duchowej Polaka domaga się historia w dobie odrodzenia Polski i całego pokolenia, narodzonego w niewoli, wynaturzonego w jarzmie najeźdźców, zniszczonego wojną, a jednak pragnącego wniknięcia do Królestwa Prawdy i pełnego odpowiedzialnego czynu.

Stanisława Ambroziewiczowa.

JAKIE CZYTACIE KSIĄŻKI i JAK CZYTACIE KSIĄŻKI?

(Artykuł dla młodzieży i rodziców).

— Tadzio, połóż książkę! Trzeba się wziąć do lekcji!

— Ach, ten Stefek, ten Stefek! Wprost łyka książki!

— Zosiu, już ciemno, a ty ciągle nos w książce trzymasz!

— Śniadanie i książka, kolacja i książka. Nie, to niemożliwe, odłóż książkę choć na chwilę!..

Ach, więc aż tak dużo i namiętnie czytacie, chłopcy i panienki? A słuchając znanych utyskiwań, uśmiecacie się mało, conajmniej, jak przy słuchaniu komplementów?!

Jakimż więc cudem z tej niezwyklej, żadnej książki młodzieży wyrasta potem to społeczeństwo, o którym się ciągle słyszy, że książki nie kupuje, nie potrzebuje, nie popiera?...

— Czy może należałoby przypuścić, że jesteście lepszym, bardziej obiecującym pokoleniem? Może wolno mieć nadzieję, że jak wy dorośnięcie, znajdziecie pieniądze na książki, na dobre poważne czasopisma, a zabraknie ich na kina, papierosy, ciastka?

Być może, że się tak stanie, ale jeśli się tak stanie, to bądźcie pewni, nie dlatego, że teraz Tadzio „łyka“ książki, a „Zosia nos w książce bezustannie trzyma“.

Zestawiwszy wasze zamiłowanie do książki z wielkim niepowodzeniem książki polskiej i czasopism polskich wśród ogółu — zdobądźmy się na to, aby poddać ostrej rewizji naszą pasję czytania, wasze zadowolenie z siebie i nawet ten cień dumy rodzicielskiej, jaki się przy utyskiwaniach na waszą zbytnią do czytania gorliwość czasem uchwycić daje...

Komu książka jest naprawdę potrzebna?

Wyobraźcie sobie, że jakiś zamiłowany ogrodnik z zapadłej prowincji, wiele dni strawił nad pulchną

ziemią, nad nasionami, inspektami... Do wielu wniosków sam doszedł, wiele też ma w sercu pytań. I nagle, gdzieś, przypadkiem trafi na dobrą, nową książkę z zakresu jego pracy i doświadczeń, chwycił ją chciwie... i zaczyna „łykać“. Ręce mu drżą, gdy czyta: ach, to właśnie chciał wiedzieć, nad tem tyle myślał, a tamtego próbował. Od tego szczęśliwego momentu, w którym znalazł tę książkę, jego praca się zmieniła, skróciła, udoskonaliła. On takiej właśnie książki szukał! Dlaczego? Bo jego jakaś sprawa (w tym razie ogród) bardzo obchodzi. Bo nosi w sobie skarb: uмиłowania, zainteresowanie.

Książka jest potrzebna człowiekowi, którego coś rzetelnie mocno obchodzi.

Antoś nie interesował się biblioteką Wujka, ale gdy zapisał się do koła sportowego, niewidzące jego oczki dostrzegały nagle w Bibliotece książki o nartach, o piłce nożnej, o terenach sportowych. Jakże uważnie i porządnie czytał to, coby go może dawniej śmiertelnie znudziło!

Jasiowi podobają się aeroplany. Znalazł u starszego kuzyna książkę francuską z cudnymi rysunkami, przekrojami, modelami. Ach, te niegodziwe francuskie słowa, kryjące upragnioną treść! Chyba trzeba się będzie nauczyć po francusku, bo po polsku takiej pysznej książki nie ma, a Jaś chce zostać lotnikiem i oblecieć kulę ziemską. Jasia to najwięcej obchodzi.

Anulka była z Mamą na wystawie i przyglądała się olbrzymiemu obrazowi Matejki: Bitwie pod Grunwaldem. — W głowie jej powstało dużo pytań. Po powrocie do domu zajrzała do historii i zaczęła z zacięciem czytać. Potem zaczął ją mocno obchodzić stosunek zakonu do Polski, oraz początek i losy zakonu wogóle.

Zochna dawniej nie nie czytała. Ale w lecie była u Ciotki, która hoduje rasowy drób, wciągnęła się w zajęcia Ciotki i ogromnie je polubiła. Trzeba było widzieć z jakim zapałem wyszukiwała w takalogu biblioteki publicznej dzieł fachowych o hodowli kur i jak ożyły dla niej literki, nad którymi przed pół rokiem byłaby pewnie smacznie usnęła!

Książka jest więc naprawdę potrzebna człowiekowi, który ma jakieś własne, szczerze, mocne zainteresowanie.

Otóż, trzeba to koniecznie powiedzieć — fabuła, powieścią, interesuje się każdy. Ale jeśli ktoś interesuje się tylko losami odważnego lub leniwego chłopca, nadzwyczajnymi przygodami wśród indjan, królewna, sierotka, ślubem, śmiercią, ocaleniem i t. p., w przyszłości książkę zastąpi mu bez trudności kinematograf lub ploczki i opowiadania z dziejów bliźnich.

Książki, po których prędko i miło przejeżdża się oczami, które przy bardzo małym wysiłku dają dużo podniecenia, są zapewne nadzwyczajnie miłe, czasem nawet mogą być z tej czy innej przyczyny pożyteczne — ale nie one przygotowują na przyszłość to kulturalne pokolenie, które naprawdę bez książki obyć się nie będzie mogło.

A więc cóż? — powiecie — mamy po 5—6 godzinach lekcji suszyć sobie jeszcze głowy? Mamy wmawiać w siebie powagę i pozować na większych mądrych, niż jesteśmy!? Chcemy się bawić, ciekawe książki nas bawią i już!! Wszystko to prawda i bynajmniej nie godne potępienia. Trzeba tylko zdać sobie sprawę, że nie na zabawieniu kończy się rola książki, nawet książki dla młodzieży i ostrzec, żebyście waszego zamiłowania do książek nie przeceniali.

Trzeba w sobie poszukać dróg wiodących do rozwoju szczerych mocnych zainteresowań, a co zatem idzie, poważnych potrzeb. Nie są one nieraz tak bardzo oddalone od ulubionej zabawy i jeśli umiejętnie się z nimi obchodzić, nie mniej dostarczą Wam przyjemności. Zadaniem książki w życiu: pomóc pracy nad sobą samym, nad udoskonaleniem się w jakimś obranym kierunku. Poszukujcie w sobie, w swoim życiu faktów, podobnych do przytoczonych powyżej przykładów o Jasiu-lotniku, Zochnie-hodowczyni, Antosiu, lubiącym sport. Co Was mocno obchodzi? Jak się to stało, że zaczęło to Was obchodzić. Wyśledźcie rodziny zainteresowania. Wyśledźcie potem samodzielnie rozwój zainteresowania. I pomyślcie, czy rozwojowi temu nie można ze swej strony rozumnie i planowo pomagać! Nikt nie żąda od Was, żebyście ni z tego ni z owego czytali jakieś trudne książki i męczyci się bez celu i przyczyny. Droga do wyrobienia w sobie istotnej powagi nie jest przymus, sztuczne minki, stronienie od zabaw, obłożenie się nudnymi książkami... Można się bawić dziecinnie, będąc w gruncie rzeczy poważnym. Trzeba się tylko zastanowić, co nas najwięcej interesuje i już w tym kierunku nie zadowalać się tylko zabawą. Zainteresowaniu temu winno się dać dobre pożywienie. Nieraz przyjdzie przełamać trudności, wynaleźć rzadką książkę, przeczytać trudniejszy tekst. — Czasem musi się iść po grudzie. — Ale przecież przezwyciężamy trudności w imię naszych własnych szczerych zainteresowań, a praca ta własnowolna, nie-

kontrolowana, znakomicie rozwija inteligencję, poczucie siły swego ja i radość życia. Nie trzeba nigdy mieć sobie za złe, że nie interesujemy się wszystkim. Jest to bardzo proste, że, np. w Iskrach, jeden cieszy się z artykułu krajoznawczego, bo właśnie te strony zna i poznaje, inny ze sportowego, lub historycznego. Chodzi tylko o to, żeby wogóle było coś, co cieszy, podrażnia, zapala i żeby to właśnie było poważnie i wtrwale traktowane.

Na zakończenie dwie rady i jedno ostrzeżenie.

Pierwsza rada:

W czytaniu treści, po której oczy same nie lecą, dochodzi się do wprawy. Nie trzeba się nigdy zniechęcać tem, że z początku szybko nas to męczy. Zaczynajcie od uważnego przeczytania poważnego artykułu z Iskier na ulubiony temat. Albo też z działu, który was obchodzi najwięcej, wybierzcie przy pomocy rodziców, przyjaciół, lub listu do naszej redakcji jakieś dobre dziełko. Zaczynajcie je czytać potrochu, ale codziennie. Ilość stron, czy nawet wierszy tylko — pomalutkę zwiększajcie — wiercie mi, nie różni się to wiele w skutkach od jakiegokolwiek trenowania się: to znaczy w miarę, jak się to stale robi, robi się coraz lepiej i lżej — a kończy się na pracy, dającej przyjemność.

Druga rada:

Spróbujcie np. 3 razy przeczytać jakiś kawałek tekstu, traktującego poważnie o czymś, co was obchodzi. — I porównajcie — poproście siłę słów, ich jasność, dobitność — za trzecim razem. Zróbcie takie doświadczenie na sobie — porównajcie: co wam dał tekst za 1 razem, a co za 3-cim.

A teraz ostrzeżenie:

Wiedziecie, co jest nałóg? To jest takie okropne namiętne przyzwyczajenie, np. do wódki, do papierosów. Ale może być i dobry nałóg, np. porządnego mycia co rano. Otóż wyrabianie nałogów dobrych jest znakomitą pomocą w pracy nad sobą.

Można mieć nałóg czytania łatwych książek i nałóg czytania poważnych książek. Trzeba tylko uważać bardzo przy początku wytwarzania się nałogu.

Dzieci, które jedzą cukierki, leguminki, rosółki z francuskimi kluskami, krzywią się na kapustę, kartofle, barszcz, chleb. — Podniebienie się bałamuci. Wiercie mi, umysł bałamuci się niegorzej od języzka. Pasiony głupstwami, ciekawostkami, nadzwyczajnościami, ucieka potem od zdrowej, poważnej lektury, jak od stracha. Kto dużo bywa na niesłychanych historjach w kinie, ten ziewa na komedji, kryjącej prawdę i piękno. Kto czyta powieści i tylko powieści, ten po macoszemu traktuje swoje własne uzdolnienia i głębsze zainteresowania. Trzeba być surowym wobec własnej skłonności do głupstw. Jeśli więc macie tę ambicję, aby w przyszłości wyrosnąć na członków społeczeństwa, w którego bibliotekach, salonach odczytowych, księgarniach byłby taki tłok, jak dziś w kawiarniach i kinach — odrzućcie stopy książek łatwych, miłych, oszołamiających. Pozwólcie sobie na nie czasem, wybraawszy przy pomocy zaufanych najpiękniejsze, a na codzień wybiercie książkę, pogłębiającą i rozszerzającą wasze własne zainteresowania.

Stefania Szuchowa.



NA DALEKIM WSCHODZIE POLSKIM.

O niewiele kilometrów od granicy rosyjskiej w skalistym jarze Krzemienieckim odkwita, ze złamanej ongi łodygi, znakomita placówka oświatowa.

Gdyby to było w czasach entuzjazmu do oświaty, oczy całej Polski zwracałyby się ku niej. Hojne dary... zresztą darów ona nawet nie potrzebuje; potrzebuje tylko umiejętnej gospodarki kolosalnym majątkiem, który przyznał jej był w r. 1920 Dekret ówczesnego Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego.

Dwadzieścia cztery tysiące dziesięcin najwspanialszych lasów, 1,600 hektarów ziemi ornej i łąk stanowią dotację Liceum Krzemienieckiego.

Liceum to wyposażone nadto zostało w szczególne przywileje. Kierownik jego, noszący tytuł wizytatora, podlega bezpośrednio Ministerstwu Oświaty. Liceum więc traktowane jest, jako osobne kuratorium.

Liceum nie jest szkołą; jest to kompleks szkół, który w miarę rozwoju instytucji, powinien się coraz bardziej rozrastać. Obecnie składa się z koedukacyjnego gimnazjum, fizyko-matematycznego, koedukacyjnego seminarjum nauczycielskiego, z dwóch internatów dla młodzieży tych zakładów, ze szkoły ćwiczeń przy seminarjum, oraz ze szkoły rolniczej w Białokrynicy pod Krzemieńcem.

Szkoła, a właściwie kursy gajowych w Surażu kształcą personel leśny na własny użytek instytucji. Szkoła ogrodnicza w Leduchowie nie może wyjść jakoś ze stadjum projektu.

Od przyszedłego roku szkolnego zaczyna się w gimnazjum likwidacja koedukacji. To znaczy: do klasy 1-szej już przyjmować się nie będzie dziewcząt, przechodząc na typ szkoły wyłącznie męskiej. Nie byłoby to nieszczęściem, gdyby jednocześnie pomyślano o gimnazjum dla dziewcząt. Niestety, niema go nawet w projekcie. Jest to tem przykrejsze, że Krzemieniec nie posiada nawet prywatnej średniej szkoły żeńskiej polskiej. W jedynej miejscowej szkole tego rodzaju jest wykład rosyjski; uczeszczają do niej przeważnie Żydówki.

Widzimy więc w tym wypadku nie rozrost, ale raczej kurczenie się instytucji Liceum i to kurczenie się w kierunku bardzo niepożądanym. Kresy potrzebują przedewszystkiem wykształconego po polsku elementu kobiecego, jeśli atmosfera polskiego życia osiągnąć tam ma swojej pełni.

By dać dokładniejsze wyobrażenie o obecnym stanie i rozmiarach instytutu licealnego, przytaczam nieco cyfr. Seminarjum nauczycielskie, o kursie 5-cioletnim i jednorocznym kursie przygotowawczym, kształci 243 słuchaczy płci obojczy, w tem 12 osób narodowości ukraińskiej, i 3-ch Żydów. Resztę stanowią Polacy. Czeroklasowa szkoła ćwiczeń gromadzi 120 dzieci. Gimnazjum liczy 360 uczniów i uczenic.

Internaty nie ogarniają całego tego zastępu młodzieży. Zaledwo $\frac{1}{4}$ znajduje w nich pomieszczenie i utrzymanie. Opłata w internacie wynosi 40 zł miesięcznie, przyczem jednak zaznaczyć trzeba, że 70 procent internistów korzysta z ulg, lub zgoła bezpłatnie znajduje przyjęcie w szkołach i w internatach.

Młodzież to bowiem bardzo uboga, młodzież bezdomna i tułacza! Siedmdziesiąt pięć procent uczennic i uczniów liceum Krzemienieckiego — to uciekiniery z Bolszewji! Na porządku dziennym są tam bardzo charakterystyczne sceny.

Zjawia się np. panienka bosa, z gołą głową, w potarganej i złachmanionej sukience i prosi o przyjęcie.

To z za kordonu! Uciekła, przemknęła się, wędrowała lasami, narażając się na strzały żołnierzy, z jednej i drugiej strony, pilnujących granicy, przybiegła, żeby kształcić się po polsku, żeby w Polsce żyć. Jest oczywiście bez grosza i spodziewać się nie można, żeby za nią zapłaciła rodzina... Przyjmuje się ją bezpłatnie.

Ten charakter liceum Krzemienieckiego czyni je tembardziej interesującą placówką.

Co do szkoły rolniczej w Białokrynicy, brak mi na razie dokładnej cyfry frekwencji. W każdym razie przekracza ona liczbę 100 uczniów.

Na utrzymanie zakładów powyższych obraca się dochody z eksploatacji obszarów leśnych i rolnych, oraz z zakładów przemysłowych, to jest 2-ch tartaków, fabryki wyrobów drzewnych we Lwowie i fabryki mebli giętych przy tartaku w Smydze.

Jak widzimy z powyższego, Liceum Krzemienieckiego jest bardzo poważnym aparatem, z jednej strony gospodarczym — wychowawczym z drugiej.

Od sprawnego funkcjonowania działu gospodarczego zależy rozwój i rozrost instytucji wychowawczo-oświatowej.

Przy obecnem urządzeniu jednym i drugim działem, kieruje ten sam wysoki urzędnik, z tytułem wizytatora.

Byłoby rzeczą, oczywiście, wysoce pożądaną, by ta sama jednostka łączyła w sobie niepospolite talenty administracyjne, jakich tu potrzeba, z fachową wiedzą pedagogiczną i talentami kierownika rozległej instytucji oświatowej. Że jednak takie połączenie trafia się bardzo rzadko, obarczanie wizytatora Liceum, administracją lasów, folwarków i fabryk, wydaje się rzeczą niewłaściwą i wprost przechodzącą siły jednostki i ilość rozporządzalnego przez nią czasu.

Przy tej kumulacji, mówiąc urzędowym stylem współczesnym, jedno, lub drugie z wielkich zadań wizytatora, szwankować musi.

Temu to zapewne niefortunnnemu połączeniu funkcji przypisać trzeba pewne niedomagania administracyjne, o których głośno mówi się na miejscu, oraz fakt, że instytucja tak doniosłego znaczenia, nie rośnie, nie pomnaża swoich agend, przeciwnie, kurczy się, edukację kobiet np. eliminując narazie z pola swych działań.

Nie słyhać też nic o jakichś planach na przyszłość. A instytucja tego rodzaju, jak Liceum Krzemienieckie, powinna mieć swój program stopniowo, lecz ściśle wykonywany. Powinna też mieć ambicję zaspakajania wszystkich potrzeb oświatowych swojej prowincji, a potrzeb tych jest tam tyle! W początkach istnienia Liceum s'yszeliśmy, że mają powstać przy niem kursa dla mierników, których brak, utrudnia wszelkiego rodzaju parcelację, a nadewszystko nabycie tytułów własności. Kursów takich niema w Krzemieńcu. A szkoda! Dawałyby od razu fach i pracę, wydobytej z piekła bolszewickiego młodzieży. Mówiono o kursach weterynaryjnych.

W kraju, tak nadającym się do hodowli zwierząt domowych, jak Wołyń, brak lekarzy weterynarii daje się odczuwać bardzo dotkliwie. W całym Państwie zresztą brak ludzi tego zawodu. I tych kursów niema! A ogólne niedomagania finansowe i redukcje budżetowe Ministerjum Oświaty nie mogą tu być wytłumaczeniem. Liceum Krzemienieckie jest małym, do pewnego stopnia, samodzielnym państwkiem. Tylko

od dobrej gospodarki wewnętrznej zależy jego rozwój.

Wytlumaczeniem za to może być do pewnego stopnia fakt, że przybywając na tę placówkę, polskie władze oświatowe zastały ruinę. Krzemieniec, a ściślej mówiąc, teren licealny, ma, jak wiadomo, bogatą przeszłość wychowawczo-oświatową.

Po powstaniu 1831 r. dzieło Czackiego uległo zupełnemu zniszczeniu. Władze rosyjskie skasowały Liceum, a cenną jego bibliotekę, bogate zbiory, gromadzone z taką miłością, wywiozły do Kijowa, czyniąc je fundamentem, założonego wówczas uniwersytetu. Nie darowano niczemu. Wszystkie cenne rośliny Ogrodu Botanicznego, nawet wszystkie drzewa wykopano i przewieziono do Kijowa. Z tego wszystkiego nie pozostało tu do dziś ani śladu! Tylko nazwą uliczki „Zaulek Botaniczny“, skarży się przeszłość.

Krzemieniec zatracił swój dawny wyraz. Słyszac o jego ruinie, pisał do matki Słowacki:

„Widzę stąd umarłą twarz waszej miejsciny“... „głos i śmiechy żaków grających w piłkę nie rozlegają się więcej po pustej galerii waszego kościoła“... „o jakże to musi być smutno patrzeć z góry na to miasto ciche i nieszcześliwe“... „trawa musi rosnąć na ulicach i zawiasy drzwi waszych muszą rdzewieć“...

Wyrosła istotnie, i dotąd wysokimi chwastami zarośnięte są szerokie, piękne schody licealnego kościoła. „Gdzie Tatar przejdzie, trawa nie rośnie“ — mówiono w dawnej Polsce, ale gdzie Moskal przeszedł, tam ogniska najpiękniejsze kultury zamieniały się w dziki step.

Gmachy licealne zajmowało w ostatnich latach przed wojną prawosławne Seminarjum duchowne.

Wojna dopełniła dzieła zniszczenia, i gdy obejmowały je polskie władze oświatowe, stan rzeczy godny był politowania.

Parterowe sale Liceum pełne były nawozu koni. Zrobiono tu bowiem miejsce postoju kawalerii rosyjskiej; gmach cały w ruinie! Żadnych urządzeń! Żadnych sprzętów! Wszystko wywieziono, czy zniszczono. A pracę trzeba było zaczynać natychmiast. Młodzież czekała. Młodzieź, co przywędrowała za armiami polskimi z pod Kijowa i Mińska. Trzeba ją było, bądź co bądź, gdzieś pomieścić. Sypiało to z początku pokotem na podłodze; na 80 chłopców była jedna miednica i jedna lampa naftowa! Oczywiście, w tych warunkach syzyfowym trudem były próby ujmowania tej młodzieży w jakiś regulamin zakładowy, a nawet nakłaniania jej do przestrzegania pewnych kulturalnych i higienicznych konieczności.

Dziś, oczywiście, jest już wszystko w największym porządku, a nawet w internacie dziewczęcym, uderza bardzo estetyczny wygląd sypialni, korytarzy, sal do pracy i t. d. Przyozdobione ręcznymi pracami uczennic, wykonanymi z wielkim gustem i pomysłowością, mówią więcej o wewnętrznym, duchownym życiu wychowanek Liceum, niżby się to z pozoru zdawać mogło. W internacie chłopców ozdób tych niema i zastanawia pogląd wychowawców, dosyć archaiczny, że te rzeczy jakoby „naturze męczyzny“ nie odpowia-

dają. Dlatego w internacie chłopców jest atmosfera koszarowa.

Porę wakacyjną zużywa się na przeróbki, przebudowywanie gmachów. Istotnie, wciąż tu wszystko przerabiać trzeba. Budowle stare (przed Liceum Czackiego był tu konwikt jezuicki), o nadzwyczajnie grubych ścianach, zabierających niepotrzebnie ogromną ilość miejsca, budowane tym dziwnym systemem, przy którym wszystkie klasy i sypialnie wychodzą na północ, a korytarze okna, obrócone są na południe, potrzebują przystosowania do obecnych wymagań higieny i poglądów na wychowanie. Buduje się więc w Krzemieńcu i przebudowuje i organizuje wciąż. Braki jednak są jeszcze bardzo poważne, zwłaszcza w zakresie zaopatrzenia bibliotek, gabinetów przyrodniczych i t. d. i t. d.

Przepisom higieny dzieje się zadość przez odpowiednie urządzenie kuchni, jadalni, kąpeli (każdy uczeń w internacie kąpie się raz na tydzień), umywalni, zaprowadzenie światła elektrycznego i t. d. Teren po dawnym Ogrodzie Botanicznym, zamieniono na boiska, place tenisowe i t. d.

Ciekawe jest, że skasowano grę w piłkę nożną, jako szkodliwie działająca na serce i nieodpowiednia podobno dla polskich zapalnych temperamentów, zastępując ją grą ręczną w piłkę.

Młodzież licealna jest i poza Liceum przedmiotem serdecznej opieki ze strony kół, zainteresowanych w rozwoju kulturalnego życia na rubieżach Polski. Koło Polek prowadzi jadalnię dla ubogich uczniów Liceum (poza internatem). Obiad kosztuje tam 40 groszy. Korzysta z niej 80 do 90 uczniów obojej płci. Narodowa Organizacja Kobiet założyła wprost Liceum mleczarnię, dostępną wprawdzie dla wszystkich, ale przeznaczoną głównie dla wychowanek instytucji, który po bardzo niskich cenach otrzymują tu mleko, lody, poziomki i t. p.

O wartości anukowej i wychowawczej zakładów licealnych oczywiście mówić niepodobna. Trzebaby rzeczy te znać dokładnie bardzo i zbliżać. Czuwanie nad tem jest zadaniem kompetentnych władz oświatowych. Wyczuwa się jednak brak świeższych i nowszych technik w całej metodzie prowadzenia zakładu, brak instytucji samorządowych młodzieży, kółek, stowarzyszeń, samodzielnego społecznego życia. Istniejące jednak Kółko krajoznawcze rozwija się pomyślnie. Praca młodzieży licealnej w Kółku krajoznawczem, uwieczniona została wydawnictwem piśmka p. t. „Nasz Widnokrąg“, którego zeszyt 2-gi drukowany i ilustrowany przynosi bardzo wyczerpującą i doskonałą, a prawie wyłącznie przez słuchaczy, opracowaną monografię powiatu Krzemienieckiego. Jest to bardzo piękny rezultat pracy Kółka, a zarazem dowód gorliwego i umiejętnego kierownictwa młodzieży.

Oto w grubym bardzo zarysie obraz oświatowej twierdzy nadgranicznej, której doprawdy powinno społeczeństwo nasze więcej, niż dotąd poświęcić uwagi i serdecznej współtroski o pomyślny jej rozkwit.

H.



TRZY LISTY O TERESIE.

Do redakcji *Bluszcza* nadszedł list. od p. P. Restorffowej, która w ostrych słowach potępia nowelę p. M. Kuncewiczowej p. t. „Przymierze z dzieckiem”.

Ciekawsze ustępy z tego listu przytaczamy w dosłownem brzmieniu:

„Szanowna Pani Redaktorko!

Zdaje mi się, że będę wyrazić opinią dość, może nawet, większej części czytelniczek *Bluszcza*, jeżeli wypowiem całe moje najżywsze oburzenie na artykuł-powieść p. Kuncewiczowej p. t. „Przymierze z Dzieckiem”, a dalej „to co w 26-tym numerze *Pani Kuncewiczowa* pozwoliła sobie napisać, obraża wszelkie uczucia kobiety, matki, obraża pismo, które przyzwyczailiśmy się uważać za lekturę dla rodzin, za pismo, które mogło znaleźć się w ręku córki naszej dorosłej, lub syna młodego. Słowa p. Kuncewiczowej, tłustym drukiem podkreślone, słowa i ustępy całe końca III-go rozdziału, no i inne, są tego rodzaju, że wstydić ich się powinna redakcja *Bluszcza*. Dla kogo są te ustępy, dla kogo te zdania? Czy *Bluszcz* jest pismem dla gości restauracyjnych gabinetów? Czy *Bluszcz* poszedł na usługi zepsucia i rozpusty, która wprowadza korupcję do życia naszego na każdym kroku, tak, że nie można wprost znaleźć słowa drukowanego, któreby niesmakiem nie przepełniało czytelnika o szlachetniejszych gustach?”

W końcu p. Restorffowa pisze: „Rozmawiałam w sprawie tego artykułu z paniami młodem, nowoczesnych pojęć i wszędzie spotkałam się z tym samym oburzeniem i niesmakiem. Dość mamy brudnych, wstrętnych utworów, zabagniających nam literaturę. *Bluszcz* powinien być pismem, które się ze spokojem zostawia na stole. Taka była idea jego twórców z *Illicką* na czele, taka powinna być i nadal jego myśl przewodnia”.

Na list p. Restorffowej odpowiadam.

* * *

Szanowna Pani.

Jestem Pani wdzięczna za ów list do redakcji, — chętnie bowiem skorzystam z okazji, — by na łamach *Bluszcza* pomówić o „Przymierzu z Dzieckiem” M. Kuncewiczowej, gdyż nowelę tę uważam za piękną, ciekawą i godną głębszej uwagi.

Na wysoce gorący i oburzony ton listu Pani odpowiem, rzecz oczywista, tonem zgoła innym — bo po przeczytaniu słów pani, jasne mi się stało, że zaszło tu nieporozumienie.

Mam szczerą pokusę nieporozumienie to wyjaśnić tak ze względu na szanowną osobę autorki listu — jak i ze względu na owe „liczne zastępy czytelniczek *Bluszcza*”, o których Pani wspomina. Musimy zacząć naszą rozmowę od ustalenia jednej, napozór drobnej, a jednak w tym wypadku dość ważnej kwestji — czy „Przymierze z Dzieckiem” jest artykułem — jak to Pani nazywa w swym liście — czy też nowelą. Mam wrażenie, że tu właśnie tkwi owo pierwsze, fundamentalne nieporozumienie.

Pani Kuncewiczowa ani na jedno mgnienie oka nie patrzy na poruszone przez się odwieczne zagadnienie stosunku matki do dziecka okiem publicysty, nie wyciąga żadnych wniosków, nie uczy, nie moralizuje, jest wolna od całego balastu narzędzi chirurgicznych, z któremi publicysta przystępuje do zoperowania tematu. P. Kuncewiczowa traktuje poruszony przez się problem, jako temat par excellence powieściowy.

Mam wrażenie, że ktoś, kto na jedną choć chwilę, mógłby traktować „Chłopów” Reymonta, jako obszerny artykuł o polskiej wsi — musiałby rozedrzeć szaty z powodu szerzonej przez autora artykułu demoralizacji, propagandy kazirodztwa i innych zbrodni i musiałby ubolewać nad krzywdą, która stała się Polsce z powodu przyznania Reymontowi nagrody Nobla.

A teraz kilka słów wyjaśnienia na temat — dlaczego nowelę tę drukowałam w *Bluszczu*.

Jak powiedziałam — temat stosunku matki do dziecka jest tematem nieśmiertelnym i tak wiecznie młodym, że możnaby go chyba porównać tylko z drugim tematem — miłością.

O ile jednak na temat miłości spisywano całe tysiące dzieł i arcydzieł, o tyle temat macierzyństwa nie cieszył się taką wśród artystów „wziętością”.

Ciekawem jest, że dużą oględnością w wypowiedzianiu się na ten temat odznaczały się kobiety.

Na temat matki i dziecka więcej, o zgrozo! powiedzieli mężczyźni! I oto stało się tak, że cały potężny, nieśmiertelny, dostojny temat stoniał do jednej sentymentalnej piosenki „śpij dziecinko już.....”

Jasne jest, że dopóki słońce będzie ogrzewać ziemię, dopóki złote kłosy zbóż będą szumiały swą prastarą modlitwą do Boga — dopóty będzie się trzepotać nad śpiącą główką dziecka w takt serca wyśpiewana piosenka miłości matczynej.

Ale jeśli czyjes rozumne i przenikliwe oczy spojrzą w głąb matczynego serca, wezbranego po brzegi bezmiarem miłości, której nie masz równej na ziemi, jeśli czyjes rozumne oczy spojrzą uważnie — to może dojrzą tam, gdzieś, w głębi ukrytą, zablizniącą się ranę, jakiś cichutki skurcz bólu, którego nigdy nie wyznają usta matki.

Miłość matki do dziecka daje jej bezmiar szczęścia, ale może właśnie dla tego, że miłość ta wynika z bezmiaru poświęcenia, wyrzeczenia się — rezygnacji z samej siebie. Dlaczego my, kobiety, mówimy chętnie o tem pierwszym, dlaczego milczymy wstydliwie o tem drugim?

Dlatego powtarzamy uporczywie bajeczkę o rodzącej się spontanicznie miłości macierzyńskiej, dlaczego nie opowiemy nigdy — jak uczymy się kochać nasze dziecko z dnia na dzień, z roku na rok, wśród bezsennie spędzonych nocy przy łóżeczku maleństwa, wśród tysiąca wyrzeczeń się własnego ja, wśród bolesnych skurczów serca — przepełnionego niepokojem o życie maleńkiej istoty, przychodzącej z zaświatów, a noszącej to tajemnicze, dziwne, potężne jak zaklęcie imię — „moje dziecko”.

Gdy koło naszego serca zaczyna bić serce maleńkie, a drobne ręce oplatają naszą szyję, czujny słuch matki słyszy najwyraźniej — jak jej własne życie odwraca się twarzą ku mogile, słyszy, jak małe, — nieumiejące wymawiać słów, usteczka szepcą: — „idź w cień — ustęp mi miejsca na słońcu — złóż w ręce moje swe życie, które już nie do ciebie należy, — twoje stopy skierowane są ku śmierci — aby moje mogły zdążyć ku życiu”.

Polubiłam Teresę — dlatego właśnie, że zrozumiała ona jedną z przedziwnych tajemnic macierzyństwa — że „ze spokojem patrzy na drogę, którą trzeba będzie odejść powoli ku śmierci”.

Lubię ją po za tem dla tego, że miłość do dziecka nie zrodziła się w niej po za jej świadomością, że Teresa nie wywodzi jej ze ślepego instynktu, ale że wyrosła w niej powoli, boleśnie, wśród ciężkich kolizyj

psychicznych, — by zdobyć sobie w jej sercu „wieczne zamieszkanie“.

Uważam zresztą, że nigdy i nic nie może być niemoralnego w tem, co mówi się o dziejach miłości matki do dziecka.

Wielką zasługą p. Kuncewiczowej jest to, że śmiałym ruchem wprowadza czytelnika w wielki świat tych zagadnień. Możliwy ujęciu przez autorkę postaci Teresy zarzucić to lub owo, możliwy nie zgodzić się ze zbyt jednostronnym nachyleniem jej psychiki tylko ku zmysłowemu pięknu — ale nigdy nie można cisnąć na nią ciężkim zarzutem niemoralności — bo zarzut ten jest typowym „kulą w płot“.

W obronie Teresy oddaję jeszcze głos autorce „Przymierza z Dzieckiem“ p. Kuncewiczowej.

Wanda Pelczyńska.

* * *

Byłoby niepraktycznie, gdyby literat obrażał się za swoich książkowych bohaterów i, jeśli się nie podobają masie, pisał ich apologię. Wiele książek chodzących wtedy po świecie w istnej zgrai załączników, protestów i kontrprotestów, a krytycy zawodowi — wobec dwugłosu autora z opinią — przeszliby „do innej branży“.

Teresa z „Przymierza“ bardzo się nie podobala wielu osobom, co zostało mi zakomunikowane ze strony oficjalnej „Bluszczu“. Ku mojemu smutkowi zarzuty, jakie doszły do mojej wiadomości, nie są natury literackiej (czekając ostatniego słowa od fachowców, mogłabym tymczasem wyciągnąć ze zdań czytelników niejedną naukę). Nie; Teresę oskarżono o niemoralność. A więc zarzut społeczny. Ponieważ nie jestem społecznicą i trzymam się z upodobaniem mojej ścieżki ściśle artystycznej — tembardziej nie mnie na pozór do repliki nie zmusza. A jednak... Mus taki istnieje. Jest nim fakt, że „Przymierze z Dzieckiem“ zostało wydrukowane w piśmie, którego naczelnym postulatem jest dydaktyka społeczna. W takim piśmie otrzymać może gościnę jedynie utwór literacki, który — jeśli nie „poucza“ — to przynajmniej staje się w atmosferze moralnej. Moralność „Przymierza“ zakwestjonowano — muszę go bronić.

Przedewszystkiem sprecyzujmy, co to jest moralność. W stosunku jednostki do siebie: zwalczyć maksimum złych skłonności, rozwinąć maksimum skłonności dobrych. W stosunku jednostki do społeczeństwa: obrócić wszelkie dobro własne, oraz złożone sobie w depozyt — ku jaknajwiększej korzyści społecznej.

Zobaczmy teraz, jak stosuje powyższe dwie zasady Teresa. Żeby to sobie uprzytomnić, trzeba streścić samą bajeczkę o „Przymierzu“, odrzucając wszystko, co jest artystycznym aparatem.

A więc. Była sobie młoda mężatka, Teresa, ogromnie zadowolona ze swego życia. Tak napełniona szczęściem, że nawet muzyka, wyrażająca cudzy ból, nie robiła na niej wrażenia. Pani ta nadewszystko lubiła piękno, bała się brzydoty. (Narówni z inną brzydota przerażała ją kształt brzemiennej kobiety.) Otóż tej pani urodziło się dziecko. Zdarzenie owo, zwłaszcza noc narodzin, odczuła, jako krzywdę, bo sprawa rozebrała się jej kosztem, a całkowicie poza jej wolą. Dziecko w pierwszych miesiącach istnienia nie budziło sympatii Teresy: brzydki, niezrozumiały i wymagający cudzoziemiec. Jednak oddała się całkowicie na usługi niemowlęcia. Powrót do dawnego szczęścia okazał się niemożliwy: zabrakło jego pierwiastków — beztroski, która umożliwia artyzm i — urody, która umożliwia partycypowanie w zmysłowym pięknie.

Wszakże — gdy udało się raz matce, pod wpływem tańca, zapomnieć o wielkiej przemianie — odrzuciła nastrój, by nie spóźnić się na służbę u małego żarłoka. Po sześciu miesiącach chłopczyk z krzykliwego niemowlęcia stał się miłym dzieciątkiem. Teresa oceniła nowy rodzaj piękna, jaki wzbogacił jej życie — pokochała najwpierw dziecięce piękno. W drugim roku życia w dziecku zaczął budzić się intelekt, a jednocześnie Jędrus wykrystalizował się fizycznie. Matka uwolniona została od funkcji karmicielskich, natomiast mogła obserwować pierwsze samodzielne poczynania małego człowieczka. Znalazłszy się z dzieckiem na wsi, spostrzegła wież kosmiczną, jaka tego człowieczka łączy ze wszechświatem. Odzyskując równowagę, przetrwała Teresa swoje przejście. Stwierdziła, że przewrót ją zahartował, zbliżył z życiem — że osiągnęła jego pełnię (str. 896 Nr. 27). Przestała się buntować, wypróbowała na sobie odwieczną konieczność. Niebawem zaobserwowała, że syn — maleńki człowieczek — już rozpoczyna swoją człowieczą dolę! Już walczy. Odkrycie to uczyniło go jej prawdziwie drogim. Jędrus również odnosił się do niej po przyjacielsku; zwierzał swoje maleńkie tryumfy i porażki. Wtedy między temi dwójgim zarysowało się wieczyste przymierze. Wkrótce później Teresa — kobieta psychicznie już dojrzała — odczuła w sobie dojrzałość zmysłów. Stosunek z mężem nabrał cech żywiołowych. Jednak szal zmysłowy pozostawiał niesmak; ujrawszy któregoś rana przy łożu małżeńskim Jędrusa ze swoim Misiem — Teresa od razu powściągnęła żądze. Z rozbijania sił życiowych pozostał głód wrażeń — rzuciła się w wir zabawy. Chłoneła świat napozór bez upamiętania; wszelako przeżycia tego okresu wzbogaciły jej podświadomość — najgłębsze źródło mądrości. Jeden z towarzyszy zabaw rozpalil się szczególnie do młodej pani. Tolerowała go, jak partnera światowych uciech. Kiedy namiętność owładnęła tym panem, Teresa odtrąciła go z przerażeniem, brzydząc się uczuć wyłącznie bestjańskich. Epizod z „czarnym panem“ zasmucił ją. Otrzeźwiona z gorączki, zwróciła się ku synowi — sprzymierzeńcy, by odtąd żyć z nim wiecznie z najściślejzym porozumieniem.

Tak wyglądają, opowiedziane „swoimi słowami“, dzieje Teresy.

Szukajmy niemoralności.

W stosunku Teresy do samej siebie: I-y konflikt. Teresa jest szczęśliwa — narzuca się jej przez muzykę cudze nieszczęście. Czy je brutalnie odpycha? Nie, usiłuje całą mocą woli nagać siebie do zrozumienia i współczucia. Jakoż wymusza na sobie zrozumienie. Współczuć nie może, bo jeszcze nie umie czuć boleśnie. II-gi konflikt. Patrzy na ciężarną kobietę — przychodzi jej myśl, że mogłaby sama tak wyglądać. Teresa, rozkochana w dotykalmem pięknie i jeszcze nie dojrzała do pojmowania piękna kosmicznego, buntuje się przeciw tej myśli. Czy postępuje niemoralnie? Nie; bo „nieświadomość grzechu nie czyni“. III-ci konflikt. Teresa potwornie cierpi przy porodzie własnego dziecka — ból ten nie budzi współczucia w otoczeniu. Czy kobieta złorzeczy, czy żąda chloroformu? Nie; „żuje cicho swój ból“... „zamyka się w skorupie bólu“ dopóki jest w niej choć iskra ludzkiego odczuwania. Dopiero, kiedy ból zamienia ją w zwierzę, zaczyna pragnąć ucieczki. IV. Niemowlę jest dla młodej matki tworem niezrozumiałym (pozbawionym ludzkiej wymowy), burzy dotychczasowy porządek życia, który czynił ją tak szczęśliwą. Czy Teresa opuszcza niemowlę, czy chociażby traktuje je niesumienne? Nie; karmi je własną piersią, „krąży dniem i nocą w orbicie

wrzeszczącego kosza“. V. Artyzm i pławienie się w zmysłowym pięknie — dwie rozkosze, które uwielbiła Teresa — zostały jej odebrane. Czy Teresa zwraca się przeciwko sprawcy tej klęski? Nie; w momencie, kiedy — za sprawą tańca — odżywa jedna z obumarłych rozkoszy, wyrывa się z objęć tancerza i śpieszy do dziecka. VI. Pod wpływem przejść fizjologicznych, i związanych z nimi objawień prawdy, Teresa zgłębia sens życia — życia, którego piękno zdobywa się nie tylko uśmiechem, ale i krwią. Czy, poznawszy tę tajemnicę, Teresa buntuje się nadal? Nie; „ze spokojem patrzy na drogę, którą trzeba będzie odejść ku śmierci“.... „w jej sercu mieści się poufale cały kurz tej drogi“. VII. Teresa dojrzewa płciowo; budzi się żywioł. — Widok dziecka — po nocy pełnej szalu — napęla ją wstydem. Czy zamyka wtedy oczy na dziecko? Nie; każe na przyszłość umilknąć żądom. VIII. Teresa nieświadomie wzbudza namietność w „czarnym panu“. — Czy, pod wpływem jego pożądania, ona — kobieta z rozbudzonym już „temperamentem“ — ulega „czarnemu panu“? Nie; odpędza go, a sama „wchodzi do domku syna na wieczne zamieszkanie“.

W powyższych ośmiu punktach zawiera się bilans kolizyj psychicznych Teresy; to jest osiem momentów walki ze złą skłonnością. Teresa walczy i zwycięża.

Zatem w stosunku do własnego życia jest uczciwa.

Postawiono jednak Teresie zarzut niemoralności. Zgrzeszyła pewnie przeciw społeczeństwu...

Patrzmy. Pokazano nam Teresę na jednym tylko skrawku życia: sprawa jej macierzyństwa. W tym zakresie istnieją dwa nakazy moralności społecznej: 1) dać społeczeństwu dziecko, 2) dziecko jaknajlepiej do życia przygotować. Jakże na te nakazy zareagowała Teresa?

1) Sprzeciwiała się poczęciu dziecka psychicznie. Tak. Jednak dziecko na świat przyszło. Widocznie sprzeciwu swego nie przeniosła na grunt poczyną realnych. Nie zrobiła tego z pewnością, skoro w okresie, w którym dziecko począć się mogło, jego przyszła matka posiadała w najwyższym stopniu zdolność „wsiąkania w gwiazdy pulsujące pod powieką“. Takie kobiety rzadko znajdują się na medycynie praktycznej.

2) Teresa sama karmiła swoje niemowlę. Czas jej „został pokratkowany wedle potrzeb przyrodzonych ssaka“.... „Każdy skurcz małego ciała przyciągał ją do siebie z siłą organiczną“. Należy przypuszczać, że w tych warunkach wychowanie fizyczne Jędrusia nie zostało zaniedbane. A czułość, której tak dziecku potrzeba? — Powiedziane jest w „Przymierzu“, jak dziecko, po kilku miesiącach życia, zaczęło się stawać matce drogie i — w miarę rozwoju ich obojga — coraz droższe. Jest więc i czułość. Na to, żeby dziecko wyrosło na człowieka w pełni — trzeba mu jeszcze zrozumienia. Otóż kwestja „czy Teresa zrozumie swoje dziecko“ nie nastroczyła się chyba nikomu. Teresa rozumiała siebie, co jest najtrudniejszym zada-

niem poznawczem. Zatem dziecko swoje zrozumie napewno.

Wniosek! Teresa nie zawiniła nic społeczeństwu. Gdzież jest w końcu ta niemoralność Teresy? Skądże powstała wersja, że „Przymierze“ jest utworem nawskroś niemoralnym? Domyślam się bez trudu: oto mnóstwo, większość ludzi moralnością nazywa z w y c z a j.

„Przymierze“ jaskrawo kontrastuje z pewną utartą tradycją. Bowiem istnieje taka tradycja: kobieta w wieku lat 3-ech, bawiąc się lalką, już marzy o własnym dziecku. Wyszedszy za męża, marzy tem intensywniej. Poczawszy się matką, odrazu rozmiłowuje się w nieuródnym jeszcze stworzeniu. Po urodzeniu niemowlęcia, nie widzi nic piękniejszego ponad nie, a godność swoją macierzyńską, wraz ze wszystkimi widomymi jej oznakami, piastuje z dumą.

Z tą tradycją dobrowolne przymierze z dzieckiem staje w oczywistej sprzeczności. Ale, czy to ma być kamień potępienia dla Teresy? Przenigdy. Bo dobro z trudem zdobyte jest podwójnym dobrem. Macierzyństwo według wyżej wymienionej recepty jest nieukończenie łatwiejsze od świadomego macierzyństwa Teresy. Ale związek, wyrosły między matką, a dzieckiem na podłożu dobrowolnego przymierza, będzie stokroć bardziej trwałe i owocne od żywiołowej więzi między samica, a małym.

„Jeśli tak jest naprawdę — powiedzą — dlaczegoż tak uporczywie trzyma się tradycja o instynkcie macierzyńskim?“

Dlatego, że — w rezultacie długowiecznych dziejów — kobiety w przeważnej ilości są przedewszystkiem żywiołami, a dopiero później ludźmi. Rozwój życia wszakże zmierza naprzód ku swoim dalekim celom: kobiecie zaczyna się już marzyć człowieczeństwo nawet w miłości, nawet w macierzyństwie... Narazie jest to marzenie. Z marzenia jednak powstaje bohaterstwo — a ono przybliży niebo, które jest przeznaczeniem człowieka.

Zostaje jeszcze jeden argument, quasi moralistyczny, przeciwko noweli „Przymierze“: śmiałość słowa. To jest temat do dyskusji literackiej, ile że słowo samo przez się nie może być niemoralne; może być tylko: niezręczne, źle zastosowane, nieharmonijnie użyte.

Słowo śmiałe w „Bluszczu“...

Wiadomo mi przecież, na czym polega wyższość Zachodu nad Wschodem: w Chinach mówi się wszystkim o panu Wu-Pej-Fu, który umarł — „Wu-Pej-Fu dosiadł Smoka“; w Europie tylko dzieciom mówi się o nowonarodzonym Jędrusiu — „Jędrusia przyniósł bocian“.

Wiadomo mi również, że „Bluszcza“ nie jest konkurencją dla „Mojego Pisemka“.

I wiadomo mi jeszcze, że wypieków na widok wyzła, gonącego wyżlicę, dostają tylko psychopaci.

Marja Kuncewiczowa.



Z TURCJI ODRODZONEJ.

Korespondencja własna Bluszczu.

I.

„Vedi Napoli e poi morire“, temi słowy określano niegdyś piękno Neapolu; o ileż słuszniej zastosować je można do przeprawy przez Bosfor, zakończonej cudną panoramą Konstantynopola. Gdy Loti w swoich ciągłych wędrówkach dotarł do stolicy Turcji i doznał niezapomnianych wrażeń, jakie dostarczają widoki, roztaczające się na brzegach cieśniny, łączące morze Czarne z morzem Marmora, radził podróżnikom, aby dla przechowania ich w duszy w nieskalanej formie, nie wstępowali do miasta, nie zatrzymywali się w porcie zgłębliwym i handlarskim, ale odpływali powrotną drogą.

Nie dzielimy snobizmu literata—artysty; poza malarskimi odczuciami nęci nas odradzająca się Turcja, to wszystko, co się w niej stwarza i rośnie, interesuje nas los kobiety tureckiej, przede wszystkim, tej do niedawna ostatniej w Europie niewolnicy. Twardą bo kuźnię ma Turcja współczesna! Na kowadle, na którym wykuwają się nowe losy, odpryskują pod młotem energicznych przywódców stare przeżytki i przesady, przekształca się wszystko od rodziny począwszy, aż do instytucji społecznych i państwowych.

Dajmy jednak naprzód folgę wrażeniom wzrokowym i powiedzmy kilka słów o naszej podróży do Konstantynopola.

Nie jest ona trudna. Wsiadamy, w rumuńskim porcie Konstancy, na piękny okręt transportowy. Pasażerowie przedstawiają rozliczne typy narodowościowe: od eleganckiej pary żydowskiej z Wiednia, jadącej do Palestyny, by tam zbadać warunki osiedlenia, do licznych greków, wracających przez Pireus do swej słonecznej ojczyzny. Są bardzo wywnętrzaający się i gadatliwi. Podobno Grecja współczesna, pomimo wojen i rewolucji, jest w pełnym rozkwicie, a teatr w Atenach ma być najlepszym na świecie. Wierzmy na słowo, choć chytry i przebiegły typ dzisiejszego Greka, nie przypomina niczem prócz klasycznymi rysami jedynie, swego protoplasty, Hellena.

Ach prawda, jest jeszcze na pokładzie młoda panna, która mówi, że jest Polką, pomimo swego niemieckiego nazwiska. Urodziła się gdzieś w Austrii, w b. Galicji może, ojciec jej jest armatorem statków w Konstantynopolu, ona jeździ wciąż po świecie, dla przyjemności. „Czy była pani we wskrzeszonej Polsce?“ pytamy. „Przejeżdżałam tamtędy, ale cóż za ludność niekulturalna, każdy chce wyzyskać obcego przybysza, a nie objaśni go, nie wskaże drogi!“ Przeczmy gorąco, ale w duszy przyznajemy słuszność tym uwagom.

Po nocy spędzonej w kajutach, wraz ze świtem, wszyscy tłoczą się na pokładzie, chcąc zobaczyć wschód słońca. Spotyka nas zawód: słońce nie wschodzi i nie zachodzi nad morzem Czarnym, roztapia się tylko w gorących promieniach przesyconej atmosfery.

Lecz oto godzina 12-ta, zbliżamy się do wód Bosforu, olbrzymie składy ukazują się na horyzoncie i zagradzają nam drogę. Statek przepływa pomiędzy niemi i wtedy oczom naszym odsłania się widok nieporównany. W błękitnej kopule, którą tworzą niebo i morze, zarysowują się zielone górzyste brzegi. Zniknęła szarżyna życia, umilkły odgłosy gwarnych miast, wkraczam w fantastyczny kraj baśni. Cicho

płyną fale, a nad brzegiem Bosforu rosną, rozwijają się, jak barwna, kwiecista wstęga, cudne widoki, coraz to nowe, coraz bardziej malownicze. Wzgórza to zniżają się, to wystrzelają w wysokie szczyty, a u ich zbocz tułają się wsie i miasteczka, wznoszą się zamki obszerne, meczety i minarety. Ukazuje nam się cała Turcja: po jednej stronie cieśniny, europejska, po drugiej—azjatycka. Z wiosną podobno jest tu jeszcze piękniej, gdy wzgórza pokryte są, jak srebrem, różnem kwieciem drzew migdałowych, ale i jesienią barwy są cudnie stonowane. Szara oliwka, ciemne pinje i cyprysy, i jasna zieleń drzew laurowych. Po czterogodzinnej przeprawie wzrok nasz ogarnia szeroko rozłożoną panoramę Konstantynopola.

Las meczetów, jest ich tu 389, pałace sułtańskie, port o licznych statkach handlowych, ścisk, hałas, mnóstwo pośredników, ofiarowujących swoje usługi cudzoziemcowi — czar pryska i przypominają się słowa Loti'ego.

To już nie ów cud natury, którym napawali się przed chwilą, ale ruchliwe zbiorowisko ludzkie walczące, jak wszędzie, o swoje osobiste interesy. To środowisko jednak podlega obecnie zasadniczym zmianom i patrząc w głębokiej zadumie na milionową stolicę Turcji, przypominamy sobie, ile to przepłynęło nad owym dumnym Bizancjum szczepów, plemion i narodów.

Od Aleksandra Macedońskiego począwszy, po przez władców greckich, imperatorów rzymskich, aż do rycerzy krzyżowych.

Turcy objęli Konstantynopol w posiadanie materialne, nie zapanowali jednak nad jego duszą. Pozostała ona dumna i niepodległa pod naporem pałaców sułtańskich, setek meczetów i, jak ongi, przemawia do nas z dawnego Kościoła Miłości Bożej, dzisiejszej Aya Sophii, cudnymi greckimi linjami, których napisy z Koranu skazać nie zdołały. Rzuca nakaz, płynący po przez wieki: Bóg jest miłością. I dlatego to Islam, użyty przez sułtanów za źródło władzy, nie potrafił na stałe w Konstantynopolu zapanować. Sprowadził tylko ucisk i ciemnotę, obezwładniając ludność przez fanatyzm religijny. Stała się też ona łupem handlarzy wszelkiego typu, którzy zaleli stolicę i ogarnęli wszystkie dziedziny życia.

I oto nadszedł moment odrodzenia. Pozbyto się zniewieściałego dworu sułtańskiego, ogłoszono republikę, i obdarzony niezwykłą energią Kemal Pasza, zaczął reformować życie. Jednożeństwo, zagłada haremowa, zerwanie z przesadami religijnymi, skasowanie klasztorów derwiszów wyjących i tańczących, zamienienie na szkoły gmachów, zajętych przez zgromadzenia zakonne — oto program. Zeuropeizowanie Turcji z jednoczesnem wydobyciem się z pod wpływów cudzoziemców z Zachodu tu przybyłych, jakież trudny do rozwiązania problem! I już na wstępie widzimy, że węzeł jest zbyt silnie zaplątany przez stary, wrośnięty w życie obyczaj, aby go łatwo rozplątać było można.

Na ulicach przemykają się jakby zaleknione postacie kobiece, w sukniach fałdzistych z pelerynkami, szarych lub czarnych, z głową przysłoniętą gęstym, czarnym „czarczafem“ i przykrytą twarzą. Te, pomimo nakazów, nie chcą się wyrzec dawnego obyczaju, pozostały niewolnicami, a takich jest więcej.

Tramwaj przepełniony, wchodzi zmęczone podróżniczeki, żaden z Turków ani drgnie, kobieta to dla niego niższy gatunek ludzki. Rozpatrujemy się, na froncie wozu, tuż przy wejściu, urządzony jest przedział dla kobiet, wysunąć się im poza wyznaczone miejsce nie wolno. Jedna z kobiet trzyma na ręku dziecko, tłustego malca, i to ściąga jej życzliwsze spojrzenie; zresztą jest ona tylko narzędziem macierzyństwa, sama jako indywidualność nie istnieje. Wogóle na ulicach nie widać wcale rodzin, kryją się one w domach.

Kawiarnie przepełnione przez mężczyzn, kobietom wstęp do nich wzbroniony. Emancypantki, przebrane po europejsku, siedzą w mleczarniach, gdzie palą papierosy, jedzą lody. Taka to i emancypacja.

Pozornie tak się przedstawia w Konstantynopolu wyzwolenie kobiety. Trzeba jednak dotrzeć głębiej i wtedy dostrzeże się objawy reformy i samodzielnego dążenia kobiety tureckiej do wolnego życia.

Ale o tem w następnej korespondencji.

J. W. K.

Jan Brzechwa.

Ł O W C Y.

*Już nie pragnę ani snów, ani radości,
Ani ciszy rozpostartej na grobowcach,
Zamyśliłem się o gwiazd bezsennych łowcach,
Do ich wyżyn, w ich oddale pójdę w gości.*

*Pójdę nocą przez jeziora i wybrzeża,
Przez ugory i pachnące jeszcze wrzosy —
Nikt nie pozna, że przez wrzosy idę bosy,
Nikt nie zgadnie, dokąd jutro moje zmierza.*

*Na spotkanie wyjdą cisi i maleńcy
Ariolowie, zatraceni nieskończenie:
— Wnijdź, szaleńcze, w nasze białe zatracenie,
W naszą przystań, niech radują się szaleńcy.*

*Na spotkanie wyjdą łowcy rozmodleni,
Cedząc pacierz za pacierzem poprzez sieci:
— Wnijdź, szaleńcze, niechaj dusza twoja wleci
W nasze sieci, zarzucone skroś przestrzeni.*

*Ktoś mnie popchnie w zatracenie dłonią wprawna,
Ktoś mi poda jakąś czarę napelnioną,
Czyjeś usta zapomniane w niej utoną,
Zapomniane, całowane tak niedawno.*

*I do siebie gwiazdni łowcy mnie przygarną,
Do swych dali, do swych wyżyn i przeznaczeń,
Bym nie zaznał nigdy snów, ani majaczeń,
Ani ciszy zanurzonej w biel cmentarna.*

*I przygarną moje ciało w swoje sieci,
Moją duszę i niziny jej bezdomne,
I już nigdy sobie, nigdy nie przypomnę,
Com zostawił poza sobą śród stuleci.*

BAJKI ŻŁOTOGRODZKIE.

Z. REUTT - WITKOWSKA.

ZIELONY ŚNIEG.

8

Człowiek jeden cierpiał pomieszanie. Rzeczy osobliwej zachciało mu się, bo zielonego śniegu.

Toż osobliwe głupstwo, myślicie!?

Ogrodnik trzyma na loterii od lat pięćdziesięciu i pół; pan jego mozoli się przez ten czas nad czymś, co zwie eliksirem żywota; przyjaciel pański, mędrzec, szuka człowieka, skoro już tak mędrcom przystało: mój zaś pomieszaniec łaknął tylko zielonego śniegu.

Dlatego chodził od świtu do nocy, od nocy do świtu, goniąc zimę.

Raz mu się widzi: jest! Ale to światło księżycowe kłamało na przełęcz.

Chodził więc dalej od świtu do nocy, od nocy do świtu — a zima uciekła do krainy białych niedźwiadków.

Siedział malarz i chciał, żeby mu staw zamarznął na płótnie. Staw nie chciał, za to malarz rozlał farbę.

„Jest!” wykrzyknął mój pomieszaniec: a farba zielona była...

Pod samym biegunem północnym, tam, gdzie oś magnetyczna wystaje z ziemi, przykrecona bardzo misterną śrubką, tam też lśni mały zameczek na lodzie. Zameczek bardzo trwały, bo w krainie białych niedźwiadków lód nie taje.

W zameczku mieszka... czarownica, oczywiście! Czarownica piękna i młoda. Ma wiele razy po sto

lat, ale jest wiecznie młoda. (Sprawa klimatu). Nadto jest wszechwiedząca, zna wszystkie rzeczy na ziemi, które są żywe i martwe.

„Jak się masz, poczcivcze!? W nagrodę twej niewzruszonej woli, należy ci się spojrzeć na zielony śnieg!” Uśmiechnęła się dobrotliwie.

Człowiek zobaczył przed sobą oczy, nawiane zamiecią: przypomniał sobie, że szedł bardzo długo, i że miał zawsze wiatr w oczy. Tutaj stało przed nim lodowe zwierciadło, z którego patrzyły ku niemu źrenice, zastygłe zielonym śniegiem.

Wtedy człowiek zatańczył dla rozgrzewki. Zresztą poczuł się bardzo lekki, będąc szkieletem i próchnem.

Ale może wam się nie spodobał taki żaloszny i śmieszny koniec?

Dobrze, właśnie też był zupełnie inny.

„Jak się masz, poczcivcze!? W nagrodę twej niewzruszonej woli należy ci się spojrzeć na zielony śnieg!” Uśmiechnęła się złośliwie.

Wydało się człowiekowi, że widzi... ale to trawka zielona, wypełzała chyłkiem z pod śniegu. A człowiek, znienacka, rozradował się w sercu swoim, bo pojął — o co nie stał dotąd: pojął, że i tu Wiosna.

Czy znalazł też i Gród Żłoty, znajdujący, czego nie szukał wcale? — Może.

CECYLJA WALEWSKA

PANNA KAMILCIA

6

Historja prawdziwa.

Była jasna niedziela czerwcową, kiedy odszukałam ją w oddziale dla nieuleczalnych zakładu Jana Bożego. Leżała w małym pokoju na cztery osoby, tego dnia pełnym odwiedzających, za którymi gineły chore. Czasami odzywał się jakiś głos gardlany, nosowy, jakby z bezdni podziemnej, krzykiem czy pytaniem bez sensu, które milkło samo w sobie. To znowu rozlegało się mlaskanie ust i języka, pożerających żywność, przyniesioną przez gości.

Przy łóżku Kamilci nie było nikogo. Leżała z oczyma, wlepionymi w otwór drzwi. Steżały jej wzrok miał jakieś sztywne, beznadziejnie zimne promienie.

— Poznajesz mnie, Kamilciu?

Siadłam na jej łóżku i podałam truskawki, których nie tknęła.

— No, poznajesz mnie?

Nie odwracała martwego spojrzenia od drzwi.

Dozorczyńni stanęła przy nas i powiedziała głośno.

— Doskonale wie, kto pani jest, widzi panią, choć nie patrzy. Tylko nie chce powiedzieć. Taki już ich zwyczaj.

Wzięłam w obie ręce mocno jej głowę, zwróciłam ku sobie.

— No, powiedz, kto ja jestem?

Nie patrząc na mnie, bo nie odrywała wzroku od strony drzwi, szepnęła mi wprost do ucha:

— Hrabina —

Tak mówiła o mnie w sklepikach, do sasiadek, które ją zaczepiały, do przekupek, które ją pytały, gdzie służy.

Może upajała się tem słowem, a może — mniej

upokarzającym wydawało jej pojęcie służby w „hrabskim domu”.

— Czy nie chcesz powiedzieć czego przezemnie siostrze twojej, albo komu innemu?

Wyrwała się z rąk moich i pędem, przez otwarte drzwi, wbiegła do sąsiedniej dużej sali przyjęć, gdzie w otoczeniu krewnych i gości siedziały, albo spacerowały gromadki chorych. Jedne — giestykując i krzycząc głośno, komuś grożąc, kogoś wywołując. Inne — bez końca powtarzając jakiś jeden wyraz, jedno zdanie tonem niesamowicie przewlekłym o pustem, głuchem brzmieniu, które ponad głowami tłumu leciało w jakąś przepaścistą bezdnie. — Gdzieś w kącie gruba, czerstwa żydówka, która wyglądałaby zupełnie normalnie, gdyby nie oczy, patrzące w coś, czego nikt nie widział, — miała wykład o socjalizmie. Stała na stołku, jak na katedrze, wymachiwała rękami, podnosiła je do góry, opuszczała w dół, wtracała w przemówienia coraz jakąś modlitwę żydowska. Stary hasyd — może ojciec, może mąż — siedząc u jej nog na stołku, płakał.

A za oknem świeciło słońce i po przez gałęzie drzew kołysało się oczami srebrnych plam na szmaragdowych trawnikach.

Z krzykiem dopadła Kamilcia do drzwi, wychodzących na taras przed pawilonem szpitala. Walily w nie już inne chore, odpychając jedna drugą, żeby wyjść przedko do tych gromadek, które spacerowały albo siedziały na ławkach spokojnie. Czasami któraś z nich zaśmiała się głośno do jakiejś swojej myśli. Czasami coś zaczęła mówić i urwała nagle. Któraś

robiła się ważną. Biegała z ołówkiem za uchem i kartką papieru w ręce. Czegoś szukała, o coś pytała i — nie czekając na odpowiedź — szła dalej. Grupy, spacerujące po dwie, po trzy, coś opowiadały, ale każda sobie, bo jedna nie słuchała drugiej.

Przy drzwiach zamkniętych sali szpitalnej powstał coraz większy krzyk. Głos Kamilci górował. Byłabym go poznała wśród tysiąca głosów. Serce rwało się z żalu. Taka daleka, obca. Jeszcze do- cześnie żywa, a już po za orbitą zbiorowości społecznej.

Zamki we drzwiach szpitalnych były mocne. Nie wypuszczały na świat słoneczny, pod kwitnące kasztany i blade jeszcze, słabo rozwinięte akacie. Na świat, który po za murem więziennym obłąkanych — był w tej chwili, jak jedno wielkie wiezienie ludzi trzeźwych, myślących rzeczowo, uświadomionych społecznie, a którym zdawało się, że nie wyjdą nigdy po za zwałę twardej, okupacyjnej przemocy. Bo chce zburić twierdze pruskiej samowoli, pruskiej tyranji, pruskiego grzechu okrucieństwa byłoby, według nich, szaleńczą próbą warjatów.

— — — — —
Już nie widziałam więcej Kamilci. W kilka dni później zachorowała na krwawą dyzenterję, która panowała w szpitalu, i zmarła. Na kilka godzin przed śmiercią odzyskała przytomność. Mówiła dozorczyńni o siostrze swojej, Stasinku i „hrabskim domu“. Błogosławiła nas wszystkich. Przepowiadała, że Niemcy wyjdą z Polski wkrótce i naród będzie wolny. Obwinała siebie o grzech próżności. Ale gdy współczująca kobieta chciała ją pocałować, spytała:

— Czy pani nie z chłopów?

Powieszono ją na Bródno. Wobec zarekwirowanych przez Niemców koni, kondukt żałobny pieszo iść musiał z krańca na kraniec miasta. Ustał tylko Stasinek, a za wąż były ramiona matki, żeby go nieść. Więc wsadzono go na karawan.

Tak pierwszą swoją podróż w świat z izbą na jakimś poddaszu odbył potomek ćwierć krwi rodu, którego ślad miał utkwąć już tylko w księgach heraldycznych.

Co będzie z ciebie, Stasinku? Został ci przysadzisty kark i twarde ręce ojca, czy łabędzia szyja matki i jej utrudzone, długie, owalne palce? — Czego dowiesz się o dziadach swoich? W zbożnym pokłonie, czy w hardej poniewierce zachowasz pamięć ich? — Słabi byli. Nie podołali ofierze. Więc siebie tylko złożyli na całopalnym ołtarzu.

Może wydrwisz ich, wyszycisz? Powiesz — „Polskę zbawiał zawsze tylko polski lud“.

V.

Ze śmiercią Kamilci jakaś ciężka zmora spadła z moich piersi i odeszła odemnie. Przestałam bać się okna w słonecznym swoim pokoju. Przestałam bać się świtów porannych i tego strasznego widnia, które zbudziło mnie ze snu o wschodzie słońca pierwszej nocy w nowym domu. Przestałam bać się szeptów, zwidzeń, duchów. Przestałam bać się sama siebie. Nowe życie wezbrało we mnie i wstyd mi było, że nie płaczę nad zmarłą dziewczyną. Ale — wiedziałam — jest blisko mnie — duszek, w mur domu mojego zaklęty i czuwający, żebym nie zginęła, ja i mój stary mąż, jak tyłu, tyłu ludzi, w klęsce powojennej.

Dziesięć lat minęło. Któregoś zimowego ranka, zbudził mnie słaby szelest — może kartki, która osunęła się z książki przy nocnym stoliku i padła na ziemię może odklejonej na ścianie tapety. Nie wiem — obudziłam się, czy w śnie ciężkim zwróciłam twarz do okna. Nie wiem — zjawą była realna, czy w zło- gach sennej półświadomości zrodzona. Pamiętam nagły skurcz przerażenia i wstrząs wewnętrzny, — gwałtowne szarpnięcie i podrzucenie w górę.

Oh, ten strach!...

Na szybie okna — w szarości wschodzącego dnia zimowego — rozlała się jedną wielką plamą galaretowata masa zielona, jak owej pierwszej nocy w tym domu.

Struchlałam. Chciałam zerwać się, uciec. Nie mogłam. Leżałam skamieniała, jak wtedy i jak wtedy przywarły moje oczy do tej masy potwornej — prawdy, czy zwidzenia.

Trzęsłam się całym ciałem, czekając chwili, kiedy wyjaskrawione żółte ślepie wpiją się we mnie, a sepie pazury zaczną bić o szyby lagrowe. Ale plama ciemnozielona zaczęła jaśnieć. Perłowy blask przeświecił ją od zewnątrz i kładł się między nią, a wielką szybą okna mojego, jak przyczajona, złota glorijs. Malachit przechodził w łagodnie stonowany seledyn, pośrodku którego tężał jakiś obraz.

Dziwne. Przestałam się bać i w śnie, czy na jawie otworzyłam oczy, szeroko, patrząc, czekając.

Już nie wiem — wzeszło słońce, czy jeszcze była przedporanna szarość zimowa, gdy nagle pokój mój zalało światło, a z tła seledynu wyrzała wprost ku mnie twarz Kamilci, dziwnie promienista, pełna blasku żywego. Jakaś słodka vibracja szła do niej. Jakieś ciepło życiodajne sączyło się w żyły. Jakaś radość wlewała się wszystkimi porami ciała w głąb duszy. Jakieś oczekiwanie drżało w każdej fibrze nerwu. Jakieś pytania kładły się na wargi.

— Z czym przyszedł do mnie, Kamilciu? — Jakie masz żądanie? — Powiedz. Wysłucham. Zrobię, co zechcesz. Niczego nie przepuszczę.

Uśmiechnęła się, jak gdyby na znak, że słyszy, rozumie, ale bez skinienia, bez mrugnienia powiek roz- płynęła się w świetle, które z nią odeszło.

Duszek — Czy już porzucił ściany domu mojego i nie chce czuwać dłużej nad dolą moją? — Czy — może — tylko przypomina o sobie? — Może zapragnął, żeby wiedział o nim ktoś więcej, po za mną i starszym mężem moim?

Tego dnia jeszcze spisałam twoje dzieje, Kamilciu — dzieje weteranki lat sześćdziesiątych trzecich, choć nie brałaś udziału w powstaniu i byłaś, jak gałąź, odłamana od drzewa poświęceń przodków twoich. Poniosły cię wichry. Poszarpały delikatne listeczki uczuć i marzeń twoich. Przeciwno tobie zwróciła się ofiarą, dziada twojego. Robiła z ciebie ostatni ołtarz dawnego „Szaleństwa bezrozumu“, ostatnie, z doby trzech rozbiorów, ogniwo w łańcuchu opętańczej żą- dzy wyzwolenia Polski.

Przyszedł po tobie czyn śmiały i wielki — czyn rozgłastowany, jak twoja, zbiorowej duszy narodu. I stała wolna Polska. A oczy twoje — może jeszcze, z jakiegoś kąta ścian domu mojego, a może już z wyżyn niebosiężnych, patrzą na to, co jest.

Czasami płaczą. Ale częściej śmieją się do ra- dosnej wizji dobrego jutra, które przyjść musi.



J. RYMKIEWICZ.

KIEDY JUŻ BĘDZIESZ DUŻY..

Paweł Gerstman czekał w pokoju, sąsiadującym z gabinetem konsula, na audyencję. Zegary w konsulacie wydzwoniły właśnie — trzecia. Przez szyby zamkniętych okien przesiąkał mody blask wiosennego popołudnia, i Gerstman z lubością śledził ciągnące, jak klucz na wyraju, dalekie, zwiewne obłoczki na powale nieba. Giętkie pręty wysokich krzaków bzu kołysały się u obrzeży futryn i szeleściły niecierpliwie, smagając gładziszne szyby; ten niepokój za oknami, popłoch rozczapierzonych liści i korne pokłony witek, było to jak znaki i sygnały życia, wdzierającego się do zaspanego mieszkania. W samym lokalu czaiła się nuda zmęczonej ciszy, przerywanej od czasu do czasu stłumionemi strzałami maszyn do pisania z przybocznych kancelaryj. W odrzwiach drzemał znużony, stary i zeschnięty jak mumia służący. W jakiejś chwili za progiem gabinetu zaskrzypiały czyjeś stąpania. Starowina poderwał się, jak na baczność i czekał, wyprężony, surowy, dostojny.

Drzwi gabinetu odemknęły się. Przez poczekalnię przechodził młody, smukły mężczyzna, obrzucając badawczym spojrzeniem siedzącego Gerstmana. Nagle zatrzymał się na środku pokoju. Skamieniał w bezruchu, jak porażony kontuzją piechur. Gerstman podniósł się powoli, niepewnie z fotela.

— Ależ spotkanie! — zawołał z brawurą młody człowiek. I długi, mocny shakehand.

Bruno Trzpis, dawny znajomy Gerstmana, nie mógł opanować swego zdumienia.

— Przez cały czas wojny! Co się z panem działo? Słyszałem, że w Japonii? Gerstman przytaknął spojrzeniem.

— Ale pan już był — po powrocie — w kraju! Trzpis uśmiechnął się jak człowiek, przed którym nic ukryć się nie może.

— Ja tu już o panu słyszałem. Mówiono mi nawet... jakaś nieprzyjemna historia z bankiem!

Rzeczywiście, Gerstman był jednym z dyrektorów banku, którego zarząd uprawiał wielką grę finansową na walucie krajowej. Porozumiewano się wówczas i działano zgodnie z bankami zagranicznymi.

— W chwilach o doniosłym znaczeniu politycznym dostarczano państwu zainteresowanym atutów ekonomicznych, które były, oczywiście wygrywane na naszą szkodę.

— Bank ten wyrządził i wyrządza nadal państwu nieopisane straty.

— I?...

— Nie mogłem tego aprobować, musiałem ustąpić.

Trzpis uśmiechnął się blado.

— To bardzo pięknie z pańskiej strony! bardzo pięknie.... Zawahał się, zakłopotany, wreszcie:

— Usiądźmy! Będzie pan musiał chwile zacząć, konsul podpisuje pilną korespondencję!

Wytrzymał pauzę ciszy i wreszcie, jakby się mszcząc za nieokreśloną krzywdę, zgrał Gerstmana ukrytem pod dobroduszością głosu szyderstwem:

— Czy to Japonia nauczyła pana takich zasad bankowości?

— Jeśli po naukę lojalności trzeba jeździć aż do Japonii...

— Oh, lojalność!

— Myślę, że nawet więcej: patriotyzm! — powiedział spokojnie Gerstman.

Trzpis wyczynił grymas, jak po wypiciu bardzo gorzkiego lekarstwa i rozpoczął długi wywód na temat nienormalnych stosunków gospodarczych, ciężkiej sytuacji w Europie po wojnie i ogólnego bankructwa.

Gerstman przypatrywał mu się przez ten czas uważnie. Znał go od wielu lat, a jednak w chwili, gdy Trzpis zatrzymywał się na środku pokoju, Gerstman musiał wyteżyc wszystką swą pamięć, żeby sobie przypomnieć tę znajomość.

— Bo też zmienił się do niepoznania — pomyślał, niemogąc jednak dociec narazie, na czym polega różnica w wyglądzie Trzписа. Dopiero po chwili baczniej obserwacji spostrzegł cyniczny półuśmieszek, przewijający się ustawicznie około ust jego rozmówcy, uśmiech obcy dawnemu entuzjastcie, za jakiego uchodził Trzpis, i oblesną mimikę jego twarzy. Trzpis mówił głośno i z wielką pewnością siebie.

Gerstman nie słuchał jego śmiałych paradoksów i poufnych zapewnień na temat katastrofalnego położenia Europy. Zainteresowało go przedewszystkiem zestawienie Trzписа takiego, jakim go znał przed wojną, a jakim oglądał go teraz, i cały pogrążył się w tej refleksji.

— Był, co prawda, wtedy jeszcze bardzo młody, ale w każdym razie — taka zmiana!

Obcesowe, napastliwe zachowanie się Trzписа, szarżowana gestykulacja i wyzywający wyraz twarzy wskazywały raczej na wątpliwego autoramentu bankowca lub komiwojażera, niż na wybitnie uzdolnionego (jak ongi, przynajmniej) członka elity umysłowej i wytwornego reprezentanta znanych Gerstmanowi sfer towarzyskich.

— Z ładnych, myślących oczu nie zostało nic, oprócz błyskających lisim podstępem galek; szczeka dolna wysunęła się jak u łupieżcy, usta skrzywione w przykrym grymasie bezczelności i cynizmu; poznałby go chyba można tylko z rasowych skłonów, jekimi zsuwały się od skroni zaróżowione policzki. Prócz tego, nerwowość i podniecenie w zachowaniu się, jakby przy dobijaniu jakiegoś targu. Gerstman był potrosze onieśmielony i zawstydzony. (On, starszy od Trzписа o dobre pięć lat).

— Ale pan, widzę, wcale mnie nie słucha!

— Przypatruję się panu i... nie poznaję! — wyznał szczerze.

— Zmieniłem się, co? — rzucił z przechwałką Trzpis.

— Owszem! — i pragnąc zmienić temat:

— Ale nic mi pan nie powiedział o sobie! Wiem, że zamierzał pan studjować medycynę....

— Studja!? Panie drogi, my dziś żyjemy chwilą i nie mamy czasu na studja!

Gerstman zdziwił się bardzo.

— Tak, tak! Widzę, że po powrocie z Japonii nie rozejrzał się pan jeszcze po świecie!

— Owszem, trochę!

— Wchodzimy w ogonie Europy w nową fazę; zaczyna się ruch w interesie! Ho, ho!

— Nie powiem, że bym był zachwycony tem, co widzę dokoła siebie.

Trzpis się obruszył:

— Oh, cóż za pesymista! Właśnie dzisaj żyje się podwójnie i żyje się dobrze! Byle, oczywiście, nie stawać okoniem, jak pan w tym banku!

— Ahaa! — mruknął Gerstman — Wiec pan?... On, Trzpis? Uśmiechnął się z pobłażliwą wyższością człowieka nowoczesnego. Pracuję w handlu i przemyśle. Jest członkiem paru komisji rewizyjnych w towarzystwach akcyjnych. Oprócz tego — giełda otwiera mu nieprzebrane możliwości. Jednym słowem — businessman! Uśmiechnął się, świadom swej roli i znaczenia. Potem zapytał grzecznie o cel wizyty Gerstmana w konsulacie. Gerstman przybył tu jako delegat wielkich zakładów przemysłowych, w związku z organizacją działu reprezentacyjnego na wystawie międzynarodowej.

— O, ho, ho! — Trzpisowi najwidoczniej zaimponowała ta rola.

— Konsul może być panu rzeczywiście bardzo pomocny! Nadto, ja również zawsze chętnie służę wszelkimi informacjami, znam dobrze tutejsze stosunki!

Trzpis wydobywał swój bilet wizytowy. — Oto mój adres.

Gerstman skłonił głowę.

— A propos, panu jest pewno znane nazwisko konsula?

— Czy mi jest znane?! A pan nie wie, kto tu jest konsulem? — Trzpis aż się ucieszył ze zdziwienia.

— Vydra miał w tych dniach ustąpić!... W czasie mego wyjazdu jeszcze nie było wiadomem, kto bę-

dzie mianowany. Ponieważ zatrzymałem się kilka dni w Wiedniu... — tłumaczył się Gerstman.

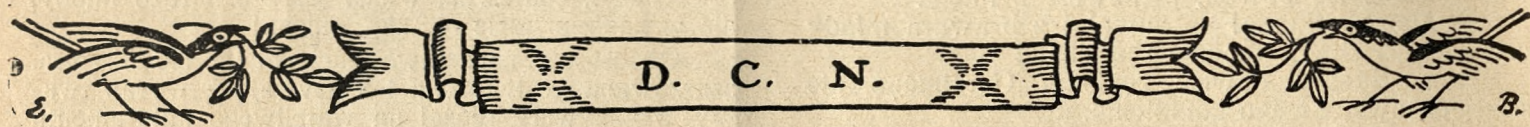
Trzpis wydobył z kieszeni srebną papierośnicę, poczęstował Gerstmana cygaretką, szybko i zgrabnie podsunął mu płonącą zapalniczkę, sam zaciągnął się tego, wypuścił nosem gęste, sine smugi dymu, i wciąż z tym samym, napół tajemniczym, a napół ironicznym uśmiechem patrzył mu prosto w twarz. Po chwili dopiero zaczął cedzić słowo za słowem, nie spuszczać z Gerstmana drapieżnego wzroku, chciwy przyłapania wrażenia, które się objawi na twarzy słuchającego.

— Konsulem jest tu obecnie — Krcek... mąż pani Eli... tej... z domu Svehlówny...

Gerstman ścierpił i zdrewniał. Uczucie niewymowne jak błogosławieństwo radości, zmieszane z okropną trwogą i dojmującym bólem, przeszło przezeń niby dreszcz magnetyczny, odejmując mu wszelką władzę panowania nad sobą.

Bełkotał jakieś słowa bez związku. Twarz jego, niby klisza, oddawała każdy błysk oszałego serca. Zamroczył myśli, kotłujących się pod czaszką i oszołomienie, jak od uderzenia kastetem, zasłaniały mu resztę wątpliwej świadomości. W ostatnim, zbawczym wysiłku złapał się konwulsyjnie poręczy fotela, żeby nie upaść.

Trzpis delikatnie, pocichutku podnosił z dywanu papieros, który Gerstman był upuścił, poczem, zagaswszy starannie, rzucił niedopałek w popielniczkę.



Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

28

O los Joanny zaczęły się natychmiast targi między dwoma sprzymięńcami, w czym ze strony angielskiej pośredniczył usłużnie kler. W tej chwili zapewne już 26 maja przybywa do burgundzkiego obozu poselstwo od Wice-Inkwizytora, z żądaniem wydania głośnej czarownicy w ręce władzy kościelnej. Tego samego domaga się wkrótce potem uniwersytet paryski.

Lecz Jan de Luxembourg, ignorując na razie tę natarczywość, przewozi swego jeńca, w ostatnich dniach maja, do zameczku Beaulieu, o kilka mil od Compiègne. Trzeba mu przyznać, że kazał traktować Joannę z pewnością wzglądami dla jej płci i stanowiska — zezwolił nawet, by jej d'Aülon posługiwał po dawnemu. W tych warunkach więziona dziewczyna nabiera otuchy — pewna, że ją lada dzień albo wykupią swoi, albo odbiją siłą.

W przekonaniu tem nie było żadnej egzaltacji optymizmu — tylko zwyczajna logika. Karol VII. jej król, przemocą prawie posadzony na tronie jej rekoma, miał wtedy w swej mocy Talbot'a, jednego z najsilniejszych angielskich wodzów: mógł go zamienić na nią, może nawet bez okupu, a w razie odmowy zagrozić najsroższymi represjami na nim, gdyby Joannie choć włos spadł z głowy.

A od czegoż „miłe księżę“ d'Alençon, mężny Jan Orleański, nieustraszony La Hire? Ci wszyscy do-

wódcy, co z kupami zbrojnych włóczyli się po Francji, bijąc Anglików, gdzie się dało? Gdyby który z nich wpadł kiedy w ręce wrogów — hej! — nie tak łatwo by im było schować go i obronić przed Joanną! Kochając swych towarzyszy broni, jak braci, wierzyła, że i oni ją kochają tak samo. Beaulieu było niby obronne, lecz nie niezdobyte!

Dlaczego żaden z tych dzielnych partyzantów nie pokusił się wtedy właśnie o napad na wiezienie Dziewy — to jedna z najciekawszych zagadek psychologicznych historii. Bo przecie ci ludzie przywiązani byli do niej niechybnie, instynktownie, jak każdy dobry żołnierz do wielkiego wodza... Cóż mogło sprawić, że do tego stopnia potracili głowy? Czyżby ich także urzekła wiara w dyplomację — zaraźliwa widać choroby Karolowego dworu? Ale oni musieli widzieć przecie, jaką solą w oku była tamtym miękkim, miłym ludziom niestrudzona bojownica. Naturalna nieufność żołnierza wobec dworaków powinna im być podszepnąć, że, jeżeli zrobią tam coś dla jej uwolnienia, to tylko od niechcenia, dla pozorów...

A tu — o dziwo! — nawet pozorów nie zachowano! Nie wysłano żadnego pisma, żadnego poselstwa, nie konferowano z nikim absolutnie, by się dowiedzieć choćby o zamiary względem ważnego jeńca, o cenę wykupu. Nie zagrożono żadnym odwetem na Talbotcie — nie kiwnięto poprostu palcem, aby ocalić Dzie-

wicę. Czar jej nad angielskiem żołnierstwem trwał jeszcze *), a swoi już całkowicie ją opuścili. Daremnie pisał do króla czcigodny arcybiskup Gélú, uderzając śmiało w imperatywny ton dawnego mistrza:

— Przykazuje waszej miłości, byście nie skapili zachodów nijakich, ni złota, ni jakiegobądź ceny, dla odzyskania onej Dziewicy, a okupienia jej żywota... nie chcecie-li ściągnąć na się niezmazanej hańby ohydnej niewdzięczności.

Na takie zaklęcie mógł pozostać głuchym tylko człowiek albo do gruntu podły, albo chory na umyśle, czy nerwach **) do tego stopnia, że utracił już świadomość wypadków i swojej w nich roli. Tak, czy owak — jawnie, na oczach całego świata, król francuski pozostawił Joannę d'Arc jej losowi, w rękę śmiertelnego wroga.

A Francja płakała... Na wieść straszliwą, we wszystkich zakątkach kraju opadały ludziom ręce, i lzy rzuciły się do niejednych oczu. W Tours ogłoszono publiczną żałobę. Po wielu miastach urządzano procesje przebłagalne dla uproszenia znowu odwróconej łaski niebios. Przy mszy odmawiano stale aż trzy rodzaje modlitw za tę posłankę Boga, „iżby ją z niewoli wybawił, przez szwanku, ku dokonaniu dzieła, dla którego ją powołał“.

Powszechna ta boleść była dla zauszników królewskich czemś wprost niepojętem. Wszak oni teraz

*) Aż od grudnia 1430 r., częste były dezercje ze strachu przed nią!

**) Karol, jako 11-y z rzędu syn warjata, mógł podlegać i podlegać, zdaje się, okresowym depresjom, bardzo silnym i długotrwałym.

dopiero oddychali pełną piersią, pozbywszy się tej zarozumiałej, wojowniczej młódki, tak krępującej ich ruchy, okrągłe i układne. List pasterski arcybiskupa de Chartres, którym usiłuje pocieszyć swe owieczki, staje się jedną wielką obelgą dla uczuć ludu, a jego samego „przywala na wieki miazdzącym ciężarem głupoty“ *) i gorzej, bo niegodziwości... W liście tym, tłómaczy on, że nie należy zanadto żałować Joanny, „...nie chciała słuchać rad, jeno czyniła wszystko, jako się jej widziało. Przyszedł ku królowi młody pasterz od owiec, z gór Gévandau — powiada nam ci on, słowo w słowo, akurat to samo, co Joanna-Dziewa: jako ma rozkaz od Boga iść pospołu z ludźmi króla i, jako przez ochyby, Angielczyki i Burgundy pobite będą. A skoro mu rzekli, iż Joanna-Dziewa zabita od Angielczyków *) — odpowiedział: na złe im się obróci on uczynek, alłiści ścierpiał Bóg pojmanie Dziewicy, albowiem wzbila się w pychę, wzięwszy szaty bogate, a nie czyniła woli boskiej, ino swoją własną“...

To poszukiwanie i zachwalanie narodowi innych wizjonerów, jako łatwej „namiastki“ Joanny, widziane w perspektywie, budzi uśmiech politowania **). Łatwi do kierowania, jak lalki, wygodni byli bajecznie swym protektorom — ale też zgola nieproduktywni...

(c. d. n.)



G. Hanotaux.

*) Wygląda to na osławianie opinii publicznej, drogą pogłosek, z takim zakończeniem sprawy.

**) A. France, traktując te próby zupełnie serio, zestawia z Dziewicą jakiegoś Michel'a z XVII w. i Martin'a z początku XIXw., którzy „także“ zwierzali się królom francuskim ze swych objawień, dotyczących polityki. Nie zauważa tylko tej drobnej różnicy, że... żaden z owych ludzi absolutnie nic nie zdziałał!

JANINA MASZEWSKA - KNAPPE.

TAJNIKI ŚWIATA ZWIERZĘCEGO.

6

Samo stwierdzenie już powszechności zjawisk życia zbiorowego, samo śledzenie jego objawów coraz wybitniejszych w całym szeregu istot zwierzęcych, samo poszukiwanie jego praw istotnych, powinno stanowić dla nauki zagadnienie, do którego rozjaśnienia i zgłębienia piętrzące się trudności nie powinny stanowić przeszkody. Tembardziej, że z tem poszukiwaniem czysto doświadczalnem łączy się zagadnienie bez porównania subtelniejsze i wyższej doniosłości, zwiększające trudność zadania, ale i podwajające zainteresowanie. Postępując bowiem w szeregu grup społecznych zwierzęcych, trudno nie spostrzedz, że odgrywa tam rolę coraz bardziej znaczącą wyobrażenie t. j. zjawisko psychiczne i że ono to jest przeważającą przyczyną stowarzyszeń. Pęd do sobie podobnych. Już na niższych stopniach rozwoju będące istoty objawiają potrzebę zbliżania się do sobie podobnych. Mięczaki, owady i ryby w pewnych odstępach czasu spotykają się tłumnie. Źródłem tego jest pewien podświadomy już, czysto psychiczny pociąg s,y,m,p,a,t,y,c,z,n,y, jak to twierdzi Wilhelm Wenuit w swoich uniwersyteckich wykładach o „Duszy u ludzi i zwierząt“ — pociąg, który zbliża do siebie zwierzęta o podobnym wyglądzie i opiera się na zmysłach, wzroku i węchu. Alfred Espinas, w swoim dziele „Społeczeństwa Zwierzęce“, ujmując to w ten sam sposób i mówi: „Istotnym pierwiastkiem gromady jest osobnik; miłość istoty dla podob-

nych sobie lub sympatja jest w niej źródłem świadomości zbiorowej.“

U istot na wyższych stopniach rozwoju ten pociąg sympatji indywidualizuje się między zwierzętami. Zaczawszy od ptaków i ssących n. p. wśród psów obserwujemy zupełnie zdecydowane sympatje i antypatje, które bywają przenoszone i na osobniki nietylko tego samego gatunku, ale najbardziej odrębnych. Wiadomo, że zdarza się silna, serdeczna zażyłość pewnego n. p. psa z jakimś miłym jemu kotem. Jedzą wtedy nawet zgodnie z jednej miski i sypią przytuleni razem, co nie przeszkadza temuż psu prześladować przy łada okazji inne koty. Po wsiach, przy swobodnem obcowaniu zwierząt ze sobą, widzi się wyraźne zaprzyjaźnianie jednych osobników z drugimi. Jeżeli ta indywidualna sympatja u zwierząt tego samego gatunku poparta będzie pociągami płciowym do osobnika innej płci, to na tem tle powstanie — związek małżeński. Oczywiście, jak to już w tym odczycie zaznaczałam, wśród istot na wyższym szczeblu będących. Ani śladu pożycia małżeńskiego nie mamy wśród bezkręgowych i niższych kręgowców, u owadów mamy szeroko ujęte życie gromadne, ale poszczególnych związków płciowych z osobnikami, jako wybranymi sobie na tle uczuć — nie mamy. To, spotyka się dopiero u ptaków i ssących. Tylko zwierzęta domowe stanowią tu często wyjątek. Zwierzę, czem ciaśniej związane z człowiekiem, z nim żyte, w niego zapatrzone, tem wyraźniej gubi łącznik z podobnemi sobie. Rozkochane

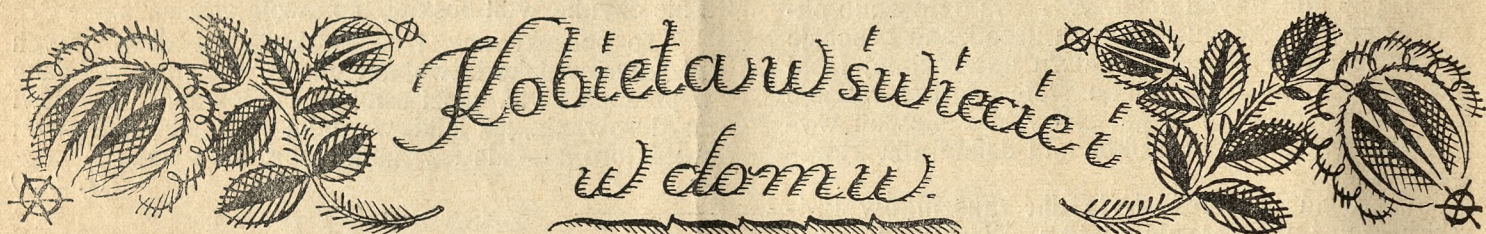
w człowieku, zapatrzone w jego wielkość i odrębność, człowieczeje, odchodzi zupełnie od tych, sobie podobnych, z którymi nie obcuje i nie chce łączyć się z nimi płciowo. Poprostu, zatracą swój instynkt. Dlatego tak często rozpieszczone, chowane w miastach psy, lub koty — nie mają nigdy potomstwa. Bywa to często i z kanarkami. Zakupiony dla samiczki, wpuszczony do klatki, ale obcy dla niej samczy — nie zawsze przypada jej do gustu. Biją się wtedy zaciekle. Każdy dzień potęguje nienawiść, trzeba je rozdzielić, gdyż obcowanie w jednej klatce, staje się wykluczone. Mogłyby się zadziobać na śmierć. A czasem, szczęśliwym zbiegiem, przypadną sobie do gustu, przywiążą do siebie serdecznie i mają zdrowe i ładne pisklęta. Bez względu zatem, jak twierdzi Wenudt, pomimo w świe-

cie zwierzęcym spotkań przypadkowych, — sympatja, wzajemny pociąg psychiczny, tak, jak i u ludzi, rozstrzyga i tu przy wyborze.

Uczucie wzajemnej łączności, obejmujące w małżeństwie poszczególne osobniki, rozprze-strzeniając się na większą liczbę zwierząt, stwarza — społeczeństwo.

Nie mogę w tym punkcie powstrzymać się od przytoczenia dosłownie całego ustępu, wyjętego z dzieła Arystotelesa „Polityka”. Najpotężniejszy ten myśliciel, poruszając tam i objaśniając sprawę istnienia i tworzenia się społeczeństw zwierzęcych, jednocześnie rozstrzyga i krótko, a wężłowo, problem śmierci wogóle.

(c. d. n.)



KOBIETY BANKIERAMI.

Postać Ireny ze znanej powieści Pawła Morand „Lewis i Irena” nie jest wcale, jak to zarzucają niektórzy, zaczerpnięta z wyobraźni autora. Kobiety, obierające sobie zawód bankierski i oddające się tej pracy z całym zamiłowaniem, istnieją — wprawdzie może nie we Francji, lecz w Ameryce, gdzie nie należą podobno nawet do rzadkości, jak o tem świadczy związane niedawno w Nowym Jorku stowarzyszenie pod nazwą „Związek kobiet-bankierów w Stanach Zjednoczonych”. Zarząd Związku w pierwszym sprawozdaniu rocznem ze swej działalności, podpisanem przez sekretarkę, Miss Bruce, podkreśla, że wbrew ogólnemu mniemaniu, kobiety wykazują bardzo dużo uzdolnienia w kierunku zawodu bankierskiego i odniosły już na tem polu duże sukcesy.

CZEGO ŻADAJĄ BULGARKI?

Jak donosi „Więstnik na Żenata”, Związek Kobiet Bułgarskich złożył ministrowi sprawiedliwości memoriał, w którym zawarte były następujące dezyderaty:

„1. Co się tyczy stosunków finansowych pomiędzy małżonkami, żądamy, aby z chwilą zawarcia małżeństwa i przez cały czas jego trwania oboje małżonkowie korzystali w równym stopniu i mieli jednakowe prawa do wspólnej ich majątności. W razie zaś rozłączenia małżeństwa, czy to z powodu śmierci jednego z małżonków, czy też rozwodu, każdemu ze współmałżonków przysługuje prawo do połowy majątności.

2. W razie rozwodu z winy żony, ta ostatnia ma prawo do zażądania zwrotu, wniesionego przez siebie posagu.

3. Śluby cywilne mają być uznane za prawne na równi ze ślubami kościelnymi, a rozwody mają być udzielane przez sądy państwowe. Powody do rozwodu powinny być jednakowe tak dla mężczyzn, jak i dla kobiet.

4. Prawo, zabraniające poszukiwania ojcostwa, powinno być zniesione, dzieci nieprawe — zrównane w prawach z dziećmi legalnymi, pod względem obowiązku łżenia na ich utrzymanie przez ojca.

5. Niezamożne wdowy, obarczone dziećmi, po-

winny otrzymywać od państwa zapomogi miesięczne w wysokości dostatecznej dla zabezpieczenia normalnego utrzymania rodziny.

6. Prawo dziedziczenia po dalszych krewnych wstępnych i zstępnych powinno być rozciągnięte także i na kobiety.

7. Żądamy usunięcia z naszego prawodawstwa wszelkich ograniczeń, dotyczących prawa swobodnego wychowywania przez kobiety wszelkich, obranych przez nie zawodów, w szczególności zaś — zawodu adwokata i sędziego.

SILA JEZYKA NIEWIEŚCIEGO.

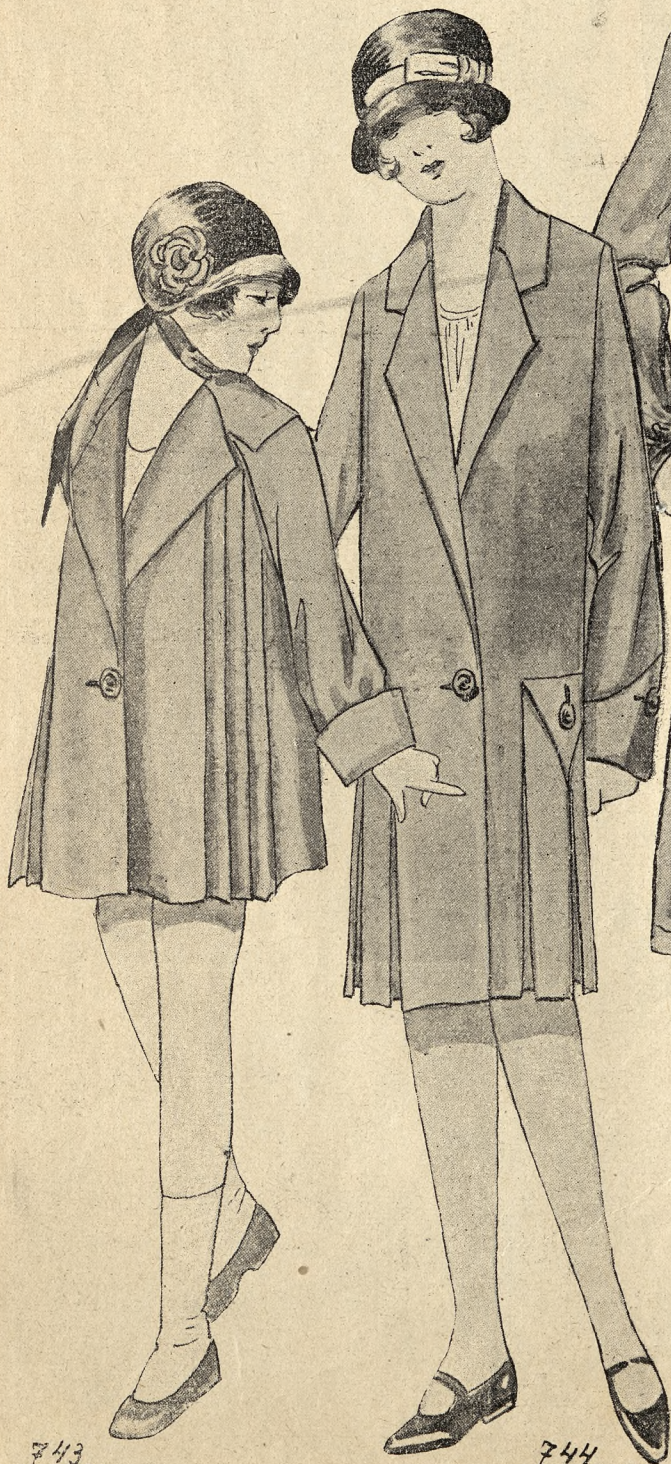
Dowiadujemy się, że pewien lekarz zadał sobie trud dokładnego wymierzenia przestrzeni, jaką przebywa język, poruszając się podczas mowy. Specjalnym, skonstruowanym przez siebie aparatem zbadał on pracę, jaką wykonał język pewnej damy podczas zwykłej rozmowy towarzyskiej na five o'clocku i doszedł do przekonania, że przy tem tempie poruszeń język niewieści w przeciągu trzydziestu godzin może przebyć przestrzeń pięciu tysięcy kilometrów!

KTO ZDOLNIEJSZY?

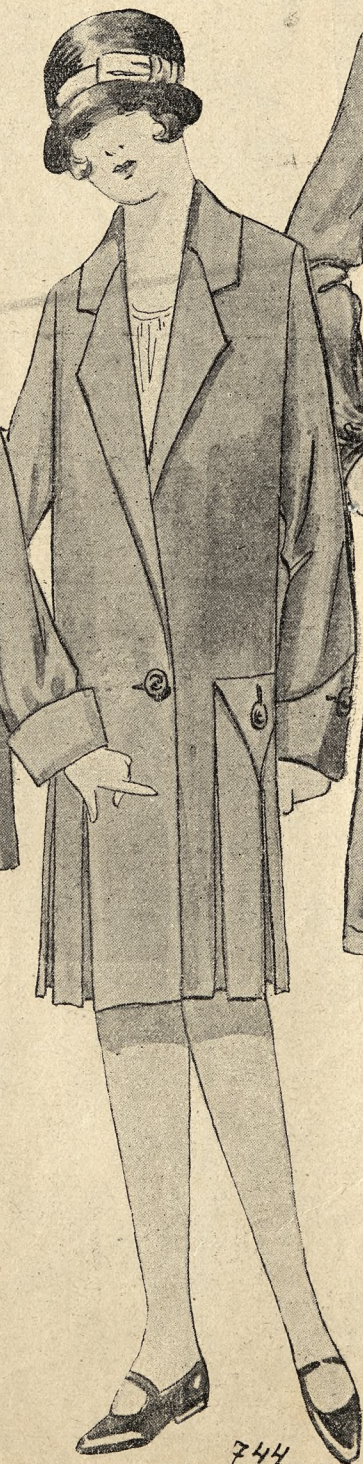
Dr. A. Rabec, profesor uniwersytetu Harvardzkiego, twierdzi, że w przeciągu dwudziestoletniej swej pracy pedagogicznej, doszedł do przekonania, iż kobiety są zdolniejsze i lepiej się uczą, niż mężczyźni. Dowodem tego jest chociażby statystyka egzaminacyjna studentów uniwersytetu w Harvard. Wykazuje ona znacznie większe postępy w naukach studentek, niż studentów. Tak np. ze wszystkich słuchaczy i słuchaczek uniwersytetu tego, którzy zdali pomyślnie egzaminy w bieżącym roku szkolnym, 55% stanowiły studentki, a tylko 45% — studenci. Profesor Rabec twierdzi, że nie jest to zjawisko odosobnione i przypadkowe, przeciwnie, ma ono cechy stałe, że zaś o tem tak mało się mówi, to tylko dlatego, że albo się nie zwraca na to uwagi, „lub też — co się zdarza w większości wypadków — personel profesorski przez złe zrozumianą dumę męską usiłuje zatrzeć w świadomości ogółu niekorzystny stosunek uczącej się młodzieży płci męskiej do zdolniejszych i pracowitszych naogół kobiet-studentek“.

Z. B.





743.



744.



745.



746.



747.



748.

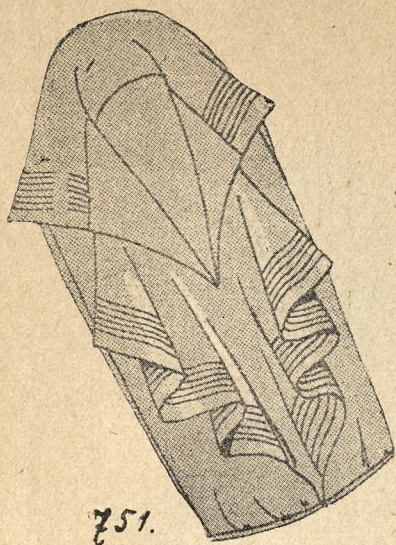


749

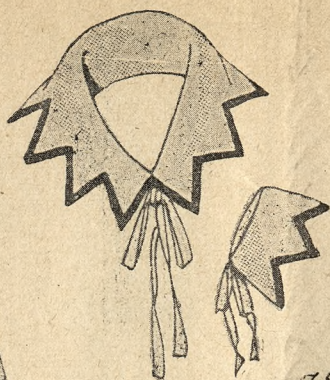


750.





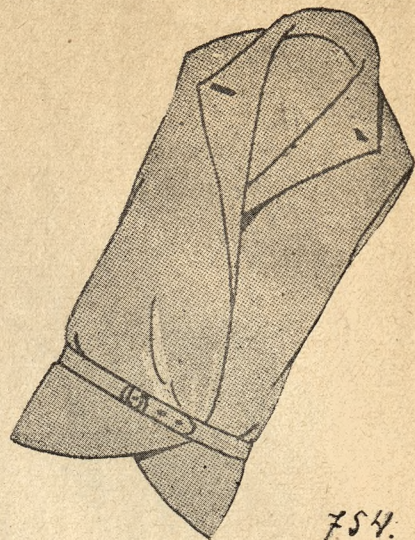
751.



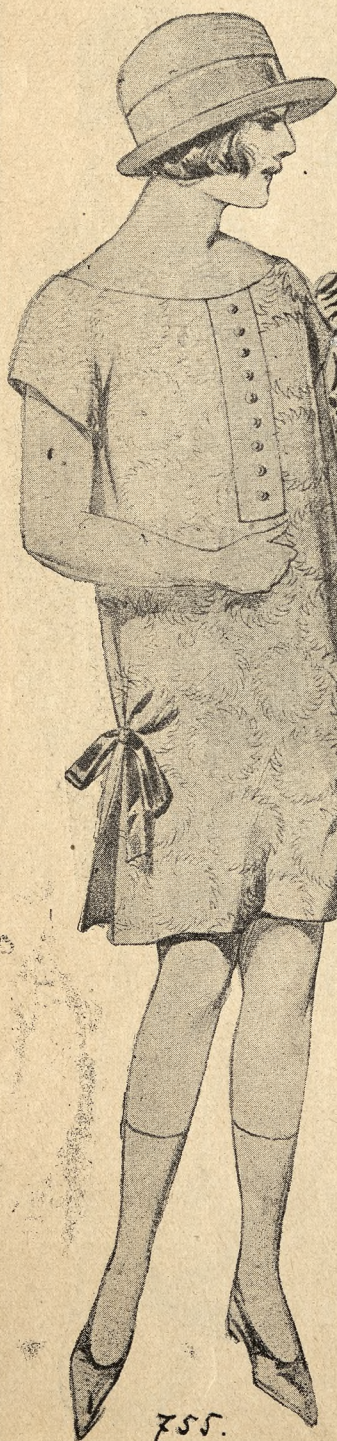
752.



753.



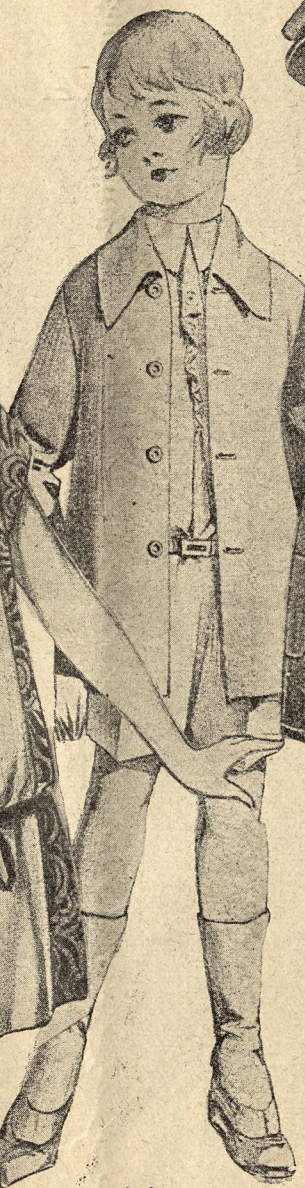
754.



755.



756.



757.

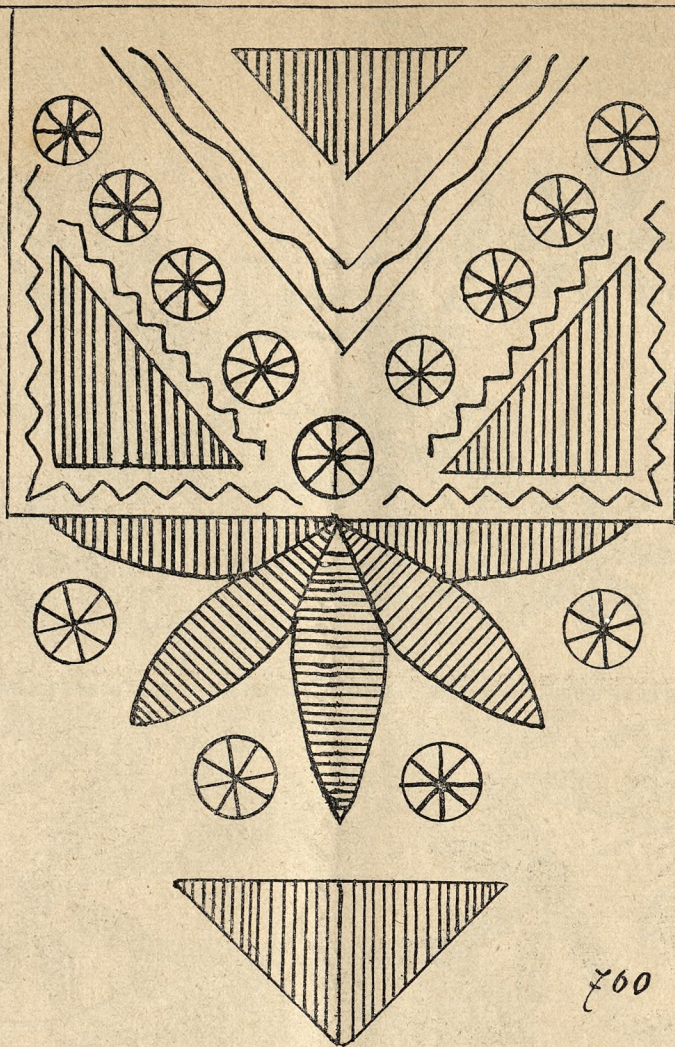
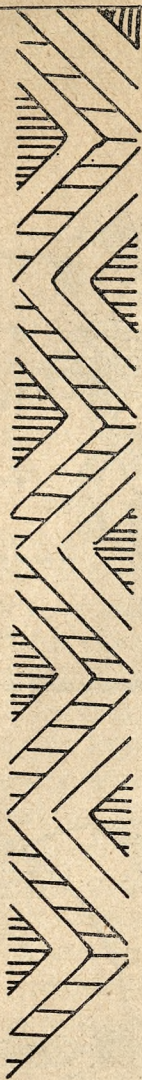


758.



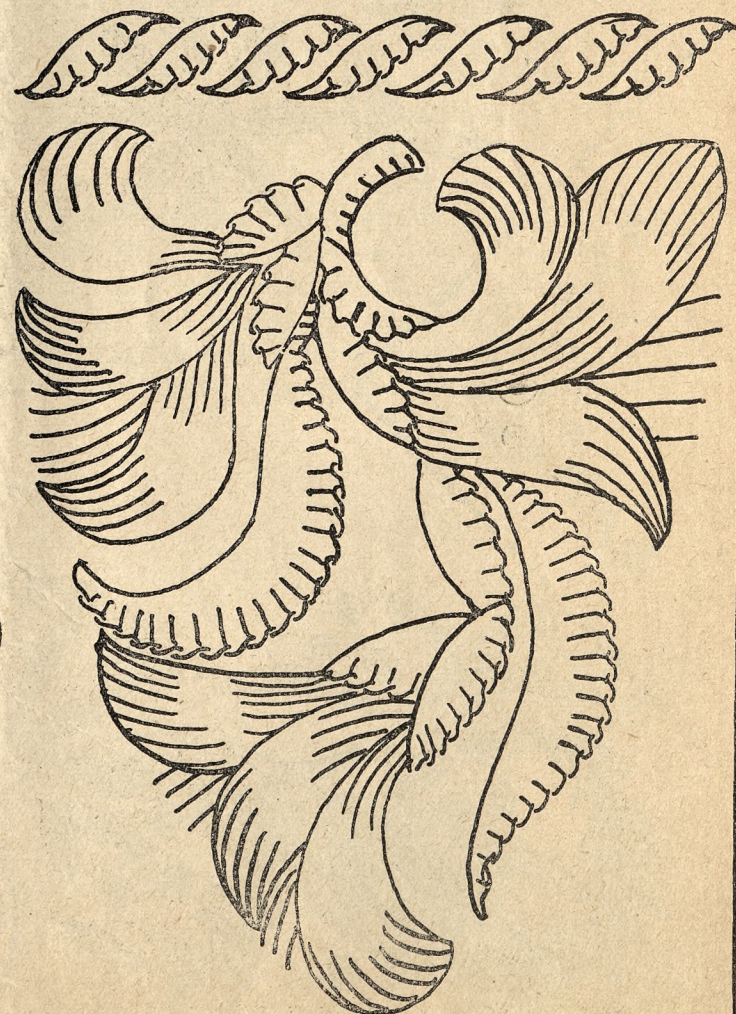
759.





760

niebieska zielony zielony
 ■ ■ ■ ciemny
 brązowy // lila



761.

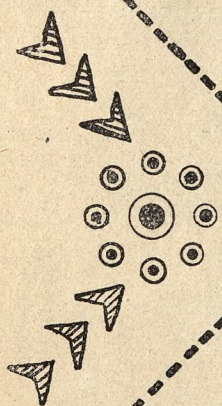
762.



763.



764.



766.

767.



765.

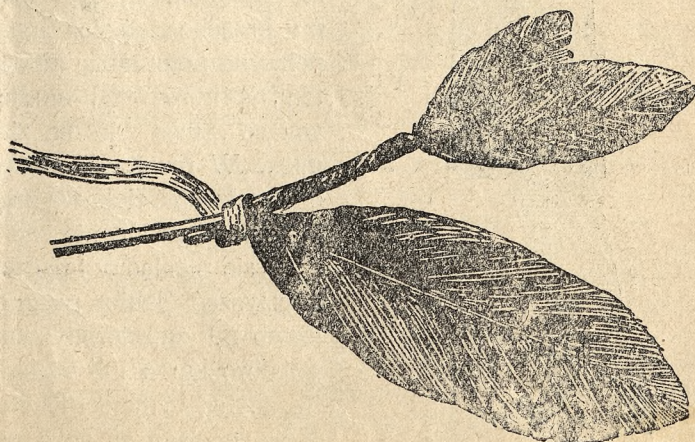
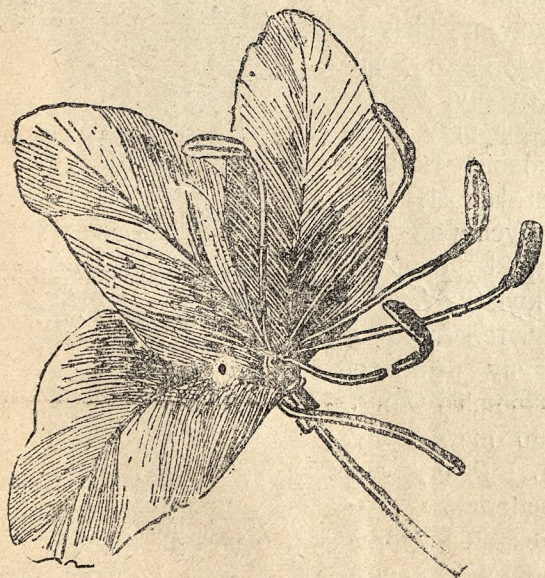
KWIATY Z PIÓR.

Wszystko, co wyobrażnia może wymyślić, aby zużytkować rzeczy nie mające bardzo niedawno żadnej wartości, uzyskało dzisiaj prawo obywatelstwa. Komu przyszło by niegdyś do głowy, że z piórek, które gubi drób w kurnikach lub na podwórzu, z piórek niezdatnych na podarcie na pierze, gdyż są za mało elastyczne, z takich piórek zrobić można piękne kwiaty do dekoracji saloniku, palety i fantazje do kapeluszy. Dziś nauczymy się jak robić kwiatek z piór i jak z pozbieranych na wywczasach piórek zrobić na jesieni kwiatek naśladujący doskonale naturę. Rysunek Nr 1 przedstawia azalję¹ obsadzoną w koszyczek z wikliny. Kwiat ten robi się w sposób następujący: trzyma się piórka nad parą tak, aby się nie zamoczyły, lecz zmiękły, odcina dolną sztywną część pióra, w górnej ostremi nożyczkami wycina się z piórek listki kwiatowe, nadając im kształt odpowiedni i wycinając od dołu do góry. Dół piór należy oczyścić z wszelkich pozostałych włosków, aby łodyga czystą została. Przy zestawieniu kwiatków posilujemy się specjalnymi szczypczykami. Na korzonek, używa się szypułki pióra, do której u góry przywiązujemy cien-



kim drucikiem słupki kwiatowe. Aby listki zręcznie dały się ułożyć trzeba z zewnętrznej strony przeciągnąć tyłem noża po szypulce, a otrzymamy odpowiednie wygięcia. Wtedy przywiązujemy listki do precików i odchylamy je jak potrzeba. Na kwiatek azalii potrzebujemy połączyć pięć listków wokół pięciu słupków, które zrobić z długich cienkich paciorków albo jedwabiu, którym zgięty drucik cerujemy, tak jakbyśmy robili gipiurę. Każdy drucik owijamy wązkim paseczkiem cienkiej ceratki, takiej jak się do zwijania kwiatów używa, to samo robimy z gałązkami i ogonkami kwiatków i liści. — Już zwinięte kwiatki maluje się na kolor odpowiedni dla azalii, pamiętając aby zawsze w dole od wewnątrz, była ciemniejsza. Błado różowe kwiatki można nakropić ciemniejszymi centkami, uważając aby były

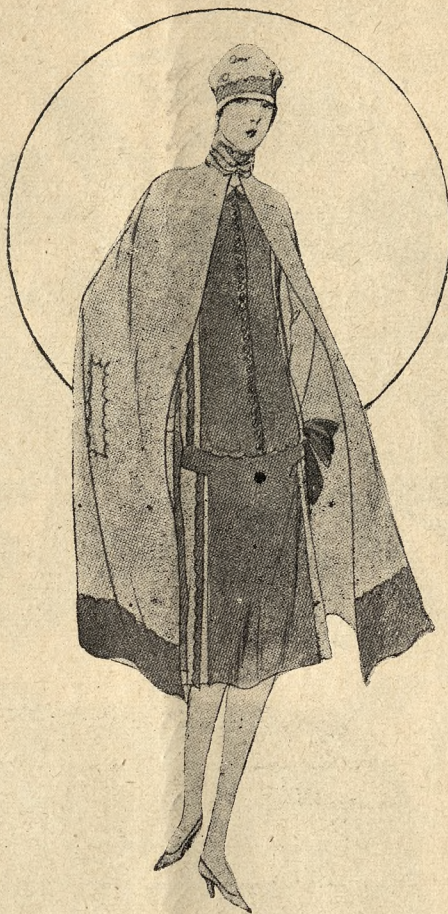
małe i niesymetryczne. Wszelkie poprawki, o ile kwiatek zwinięty, trzeba robić specjalnymi szczypczykami. Skończywszy pojedyncze kwiatki trzeba owinać łodygę naśladującą pień drzewka paskami wyżej wspomnianej ceratki, listki i kwiatki zwija się tak samo, łącząc je w gałązki i przywija ściśle bardzo do drzewka paskami ceratki.



ODRODZENIE PELERYNY.

Peleryny, czyli capes, zwane u nas z niezbadanych powodów „kapami” lub też z angielska „kepi”, nie są właściwie nowością. Nie sięgając w zamierzchłe czasy do romantycznych hidalgów lub brygantów, drapujących się złowrogo w czarne peleryny, ani figlarnych paziów, najmłodsze z nas pamiętają dobrze parokrotne nawroty mody peleryn. Wypadły z łaski zeszłego lata, obecnie są znów „la grande vogue”. Bardzo niebezpieczny strój peleryna, kobieta korpulentna wygląda w niej jak baryłka na kółkach, maleńka — jak gnom w kapturze, wysoka — jak bocian lub wieszak, co kto woli i t. d. Peleryna rozpięta wygląda zbyt negliżowo, zapięta zbyt uroczyście. Zresztą większość peleryn nie ma zapięcia; modelki wielkich firm, demonstrujące na pokazie mód, strój wielokrotnie mierzony, ruszają się w nim ze swobodą i wdziękiem.

Pani skuszona nabywa pelerynę, udaje się w niej po zakupy i oto zmuszona jest wieść ze sobą samą srogie boje: jedną ręką przytrzymuje obsuwającą się z ramion pelerynę, drugą trzyma torebkę, parasol, paczki; kiedy zachodzi potrzeba wyjęcia portmonetki, przyjęcia reszty, podania ręki spotkaniemu znajomemu, Pani żałuje, że niema trzeciej i czwartej ręki jak owa nańka murzyniátka w dziecinnej piosence Makuszyńskiego. W rezultacie paczki, torebka, drobne i grube pieniądze rozsypują się w błocie lub kurzu, Pani się schyla, dorożkarz lub subiekt się schyla, nieznamy przechodzień się schyla, peleryna przerażona kłopotem, jaki narobiła, omdlewając zsuwa się na ziemię... W rezultacie można czasem zrobić ciekawą znajomość, częściej nie doliczyć się pieniędzy i paczek i usłyszeć jakie przykre słowo od zniecierpliwionego dorożkarza lub szofera. Takie są „małe niedole” jakie pociąga za sobą no-



szenie peleryny, w obronie jej trzeba powiedzieć, że o ile komuś w pelerynie do twarzy i do figury, o ile potrafi ją swobodnie nosić, to wygląda w niej szykowniej niż w każdym innym stroju. Zresztą co tu długo filozofować: peleryny są zwodne więc będziemy je nosiły, niezależnie od tego, czy będziemy w nich lepiej, czy gorzej wyglądać. Chodzi teraz o to jakie peleryny są modne? Otóż modne są wszelkie. I długie obszerne płaszcze, otulające szczelnie całą sylwetkę, i pół długie odpowiadające żakietom naszych kostymów i wreszcie króciutkie paziowskie płaszczyki przypinane do ramion. Praktyczne i wygodne jest połączenie długiej kłoszowej peleryny z zapinaniem z przodu bołerem. Kołnierze przy pelerynach nosi się ogromne, stojące kany-py. Wbrew wszelkiemu podobieństwu robią te dziwolągi bardzo „do twarzy”. Oczywiście że i peleryny podlegają współczesnej tendencji dopasowywania okrycia do sukni, tworzenia tak zwanych ensemble'ów, czy complet'ów.

Najpopularniejszą kombinacją jest połączenie sukni z des. fularu z niezbyt długą cape z gładkiego jedwabiu lub lekkiego sukna podbitą deseniowym fularem. Widziałam śliczny model complet'u składający się z jedwabnej sukni z białym karbowanym żabotem, półdługa czarna jedwabna cape była podbita białym jedwabiem i przybrana wypukłym białym haftem. Całość niezmiernie efektowna byłaby szczególnie stosowna przy kończącej się żałobie. Bardzo piękne capes dają się wykonać z grubych połyskujących jedwabi tkanych w matowe kwiaty. Wobec bogactwa materiału krój takiej peleryny powinien być mało skomplikowany, najlepiej suto marszczony od karczka. Peleryny z gładkich materiałów bywają niesłychanie wypracowane, karbowane, wy-



marszczone, przybierane zakładkami, stebnówkami i plisami. Modne są peleryny double face dające się nosić na dwie strony: ciemną i jasną, gładką i desenio-
wą. Model londyński, cape z białego sukna, podbita czarnym jedwabiem, miała zamiast kołnierza na plecach wielki kap-
tur, okazujący czarną podszewkę na białej stronie i białą na czarnej. Wieczorowe capes odznaczają się niebywałym prze-
pychem, robią się z brokatu, ze złotogło-
wii, z haftowanej georgette'y. Czasami przybiera się jej lekkim, puszystym fu-
trem jak szenszyle lub białe i popielate lisy. Modna peleryna nie pozostała bez wpły-
wu i na resztę naszej garderoby. Coraz częściej spotyka się palta z plecami skra-
janymi w kształcie peleryny. Krótkie pe-
leryny, podobne do hiszpańskich płaszczy-
ków, zaczynają zdobić plecy naszych kostiumów tailleur. Nawet przy lekkich sukniach z kreponu lub georgette'y, luźno puszczone kloszowe kawałki materiału, przypominają pelerynę i czasem zastępu-
ją rękawy. Przy wieczorowych toale-
tach, pozwalających na luźniejsze puszczenie cugli twórczej fantazji, można, sto-



sując temat peleryny, osiągnąć bardzo oryginalne i szczęśliwe efekty. Przy stroj-
nych peniuarach i neglizach peleryna jest pomysłem nie do zastąpienia. Z koronki zarzucona na plisowany negliz z morelo-
wego jedwabiu, z marszczonoj gazy lub georgette'y na luźnej koronkowej sukni, wygląda strojnie i bogato, maskując szczę-
śliwie drobne niedokładności toalety i fi-
gury. Szczególnie można ją polecić pa-
niom, spodziewającym się powiększenia rodziny. Dla tych ostatnich zarówno w domu jak i na ulicy, obszerna drapowana cape będzie nieoceniona. Żaden inny strój nie jest w stanie tak szczęśliwie zatuszo-
wać okresu tej przymusowej niezgrabno-
ści. Jeżeli Pani nie chce przedwcześnie zwierzać się, z mających nastąpić w ro-
dzinie zmian, większości znajomych, mo-
że Pani spokojnie odpowiadać spotkanym na ulicy przyjaciółkom, o ile zechcą czy-
nić złośliwe uwagi o pani tuszy. „Rze-
czywiście, capes nie są dla nikogo awan-
tażowne, wygląda się w nich jak gdyby się było przy nadziei“. I dlatego właśnie są w niektórych wypadkach tak bardzo awantażowne.



POLSKA WSPÓŁCZESNA.

IX.

LUDNOŚĆ RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

O stanie zaludnienia poszczególnych Państw do-
wiadujemy się z periodycznie zarządzanych spisów
ludności. Spisy takie mają duże znaczenie administra-
cyjne i społeczne, dając z jednej strony liczby pozwa-
lające Państwu na przeprowadzenie najrozmaitszych
obliczeń, potrzebnych dla celów skarbowych, wojsko-
wych i t. p., a z drugiej strony dostarczając określo-
nego materiału socjologicznego, pozwalającego zbadać
stan i rozwój całego społeczeństwa i jego poszczegól-
nych odłamów. Statystyka spisów bywa uzupełniana
statystyką ruchu ludności, która w okresach pomię-
dzyspisowych podaje liczby zmian i ruchów, jakim lud-
ność zamieszkała na danym terytorjum podlega. Sta-
tystyka ruchu ludności obejmuje przeważnie staty-
stykę zgonów, urodzin, małżeństw, a także statystykę
wyjazdu z kraju i reemigracji.

Przed wojną na ziemiach Polski różny był stan
statystyki populacyjnej w różnych zaborach. Naj-
wyżej stała ona w b. zaborze pruskim, gdzie doko-

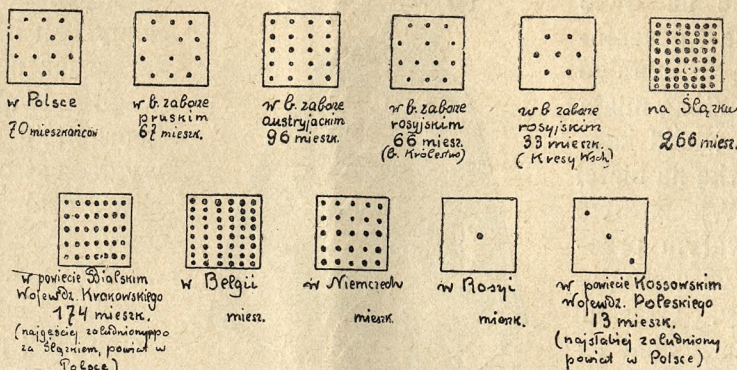
nywano periodycznych spisów ludności co lat 10,
a w okresie międzyspisowym prowadzono dokładną,
szczegółową, statystykę ruchu ludności. Wreszcie,
w b. zaborze austriackim spisów periodycznych nie
dokonywano wcale, zarządzając tylko sporadyczne
spisy jednorazowe, z których ostatni przeprowadzono
w r. 1897, statystykę ruchu ludności w b. zaborze ro-
syjskim prowadzono w sposób nienaukowy, nie dający
dostatecznie pewnych rezultatów.

Władze Rzeczypospolitej Polskiej starały się po-
stawić statystykę administracyjną, a więc, przede-
wszystkiem statystykę ludnościową, na należytych
poziomach. Pierwszy spis ludności na ziemiach Polski
przeprowadzony został w r. 1919 przez naczelne do-
wództwo wojsk polskich. Obejmował on dzisiejsze
województwa wschodnie (oprócz wołyńskiego), oraz
część terenów należących obecnie do Rosji Sowieckiej.
Spis ten, ma i dzisiaj znaczenie, jeżeli chodzi o obszar
województwa wileńskiego, na którym już później spi-
sów nie przeprowadzano.

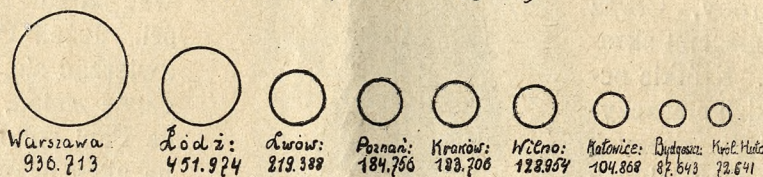
Pierwszy ogólnopolski spis ludności przeprowadzono dnia 30-go września 1921 roku. Był on przygotowany z zastosowaniem ścisłych wymagań naukowych i obejmował całą Rzeczpospolitą Polską, za wyjątkiem Górnego Śląska, którego przynależność państwowa jeszcze podówczas ostatecznie nie była, i Wilenszczyzny, która wchodziła wówczas w skład t. zw. Litwy Środkowej stanowiącej samodzielny organizm państwowy. Spis ten daje nam dość ścisły obraz stosunków ludnościowych, panujących podczas jego przeprowadzenia w Polsce. Spisujący notowali na specjalnych arkuszach spisowych dane dotyczące płci, wieku, narodowości, religii mieszkańców, ich zamożności, wykształcenia i t. d. Jednocześnie ze spisem ludności przeprowadzono spis zwierząt domowych.

Spis wykazał na całym obszarze, na którym był przeprowadzony, 25,388,775¹ ludności, w czem 13,286,885 kobiet, a 12,420,415 mężczyzn. Jeżeli do tych liczb spisu dodać ludność Wilenszczyzny obliczoną według spisów z r. 1919 na 497,240 i ludność Górnego Śląska obliczoną według spisu niemieckiego z r. 1919 na 980,296

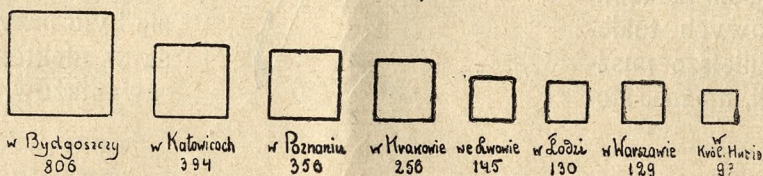
Gęstość zaludnienia — na 1 km.² przypada:



Miasta, liczące ponad 50.000 mieszkańców.
(Ludność w stanie w dn. 30/IX 1921 r.)



Gęstość zaludnienia wielkich miast:
na jednego mieszkańca przypada metr² powierzchni miasta.



wydaje osobno statystykę spisu opracowaną dla każdego Województwa, w innych znowu tomach, ukazujących się pod tytułem „Pierwszy powszechny spis Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 30 września 1920 r.”.

to otrzymamy w przybliżeniu, jako cyfrę ludności zamieszkałej w Polsce w r. 1921, liczbę 27,184,836.

Ilość ta uległa powiększeniu o blisko 500,000 reemigrantów, którzy po dniu 30-go września 1925 r. przybyli do Polski a nadto, corocznie, ulega powiększeniu o przyrost naturalny, dosyć znaczny w naszym kraju.

Oprócz ogólnej ilości ludności w całym Państwie spis z r. 1921 podał nam także ilość ludności w poszczególnych Województwach, powiatach, gminach a nawet w poszczególnych miejscowościach. Rezultaty spisu są wydane przez Główny Urząd Statystyczny Rzeczypospolitej Polskiej w t. zw. „Skorowidzu Miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej”. Obszerne to wydawnictwo, w XVI tomach, podaje stan ludności w dniu 30-go września 1921 r. w najdrobniejszych nawet wioskach, z uwzględnieniem ilości domów, płci, religii i narodowości mieszkańców. Ponadto Główny Urząd Statyst.

JAKIE PRZYMIOTY POWINIEN POSIADAĆ MAŻ WZOROWY?

Pod tem hasłem pismo francuskie: „Nasze wczasy” — „Nos loisirs” skierowało ciekawą ankietę do najwybitniejszych kobiet Francji.

Oto garść odpowiedzi:

Księżna Rohan tak formułuje swoje poglądy: „Zdaje mi się, że cechy idealnego męża nie powinny bardzo odbiegać od przymiotów idealnej żony, zważywszy równouprawnienie obu płci, ciągle wzrastające. Przypuszczam, że mężem wzorowym będzie ten, który posiada talent wzbudzania miłości i szacunku i jest faktycznie głową rodziny, choćby na to nie wyglądał. Wreszcie powinien mieć dobry charakter. Uniknie cierpkich słów, które kruszą i rozdrabniają miłość, niepotrzebnych, lub wręcz szkodliwych sporów, które zmieniają ognisko domowe w istne piekło, tak, że dzieci, w niem wychowane, z niecierpliwością wyczekują chwili odlotu z gniazda.”

Odpowiedź panny Heleny Vacaresco:

„Zdziwię może albo zniechęcę niejedną kobietę, wyznając, że bardzo rzadko zdarzało mi się wywoływać w myśli postać tego, który mógłby być ideałem męża. W mojej najwcześniejszej młodości, — tu odbiła się na mnie lektura romantyczna, — pragnęłam, aby był czułym, milczącym marzycielem, może dlatego, że sama wówczas byłam bardzo gadatliwa. Później, gdy życie rozpało moją wyobraźnię, marzyłam o człowieku czynu, o jednym z tych bojowników, od których roją się wiry współczesności. Dzisiaj mój ideał wczorajszy wydaje mi się banalnym i niepokojącym. Z takim typem człowieka nie do pomyślenia byłoby ani ognisko domowe, ani poufna pogawędka, ani uczuciowe dociekania, ale wiekuisty pościg za zyskiem, za karierą, wśród którego kobieta, zawiedziona w swych pragnieniach, nie ma czem wypełnić godzin pustki, których dzieci, jeszcze zbyt małe, nie mogą całkowicie zaabsorbować. — A więc czegoż pani szukała? —

zapytacie. — Do jakiego mirażu zwracały się twoje oczy? — Powtarzam raz jeszcze: pozycja moja w głębi szczęśliwego celibatu jest bardzo niekorzystna, jeśli chodzi o skryształizowanie mych marzeń i wizyj.

A jednak, zdaje mi się, że naturze zarówno mojej, jak zresztą wielu młodych panien, najlepiej odpowiadałby człowiek, który naprzemian to byłby moim opiekunem, to dawałby mi złudzenie, że to on właśnie potrzebuje mojej opieki; człowiek o usposobieniu nieco burzliwym, któryby u mego boku znalazł przystań bezpieczną od burz wewnętrznych i zewnętrznych.

Największa ilość kobiet, zawiedzionych w małżeństwie, rekrutuje się z tych, które mąż uczynił wprawdzie szczęśliwymi w potocznym znaczeniu tego słowa; ale nie dał im nic do roboty w dziedzinie sentymentu. Usadowił żonę raz na zawsze w wygodnym fotelu ufności i przywiązania i uważa, że na tem koniec, że nie ma ona już prawa wymagać czegoś więcej...

A my tymczasem zamykamy się w sobie i aby nas odnaleźć, trzeba nas szukać na wszystkich drogach serca.

Bardziej obojętne na zewnętrżność, niżby się tego po nas spodziewać należało, żywimy jedno pragnienie: czuć, że się jest niezbędną w labiryncie subtelnych myśli, w atmosferze ideału, podzielanego z istotą ukochaną. Jednem słowem, mogłabym kochać, a nawet uważać za niezbędnego w moim życiu człowieka, dla którego miłość moja byłaby przedmiotem pierwszej potrzeby.

Nie szukałam go, a zatem i nie znalazłam. Być może przeszedł tę ziemię, zanim ja na niej się zjawiłam, trawiony boleścią, że spotkać mnie nie może, albo przyjdzie wówczas, gdy ja już będę jeno cieniem nieuchwytnego żalu w duszy nieznanego przechodnia“.

Pani Marja Gasquet prościej i praktyczniej rozwiązuje problemat męża idealnego.

„Wzorowy mąż? Przedewszystkiem niech ma poprostu dużo zdrowego sensu! Zaprawdę, małżeństwo może być sojusznikiem obfitości miłosnej i intelektualnego dostatku, ale wymaga kontroli, a wobec coraz cięższej odpowiedzialności głowy rodziny, prostacza koncepcja przywilejów stanu musi ustąpić miejsca rosnącym wymogom wartości moralnych.

Bez roztropności i bez usilnych starań, nie można tworzyć ogniska trwałego. Doświadczenie wykazało, że dziedziczna mądrość jest duszą tego arcydzieła, jakim jest spoista rodzina. Można śmiało powiedzieć, że człowiek, obdarzony tego rodzaju mądrością, nawet gdyby pozatem rozporządzał inteligencją zgoła przeciętną — to nie znaczy mierną, — może być lepszym oparciem dla kobiety niezwyklej i dziecka genialnego, niż świetny meteor, co rozjaśnia żywym blaskiem firmament namietności, ażeby zniknąć bezpowrotnie w otchłani życia“.

Pani Marcella Finayre w ten sposób formułuje swoje poglądy:

„Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Ideał jest zmienny stosownie do osobistości. To, co jest dobrem dla jednej, może być złem dla drugiej kobiety. I wbrew pozorom, ideał ten pozostaje tym samym dla każdej z nas, bez względu na epokę.

Niektórym współczesnym pannom zdaje się, że mają o małżeństwie pojęcie mniej burżuazyjne, mniej praktyczne, niż ich prababki.

Złudzenie! Tylko formy uległy zmianie. Czytałam niedawno, w jakimś starym tygodniku szereg uwag i refleksyj, dotyczących się młodzieży z przed lat trzydziesiąt. Można by je zastosować dosłownie do współczesnego nam pokolenia.

Po wszystkie czasy najlepszym mężem dla kobiety jest mężczyzna tej samej co ona rasy. Kontrasty pociągają, — cechy wspólne przywiązują ludzi do siebie“.

Panna Izabella Sandy podkreśla różnice między dawnym a nowym typem małżeństwa:

„Zdaje mi się, że współczesny małżonek powinien posiadać zalety, których dawniej nie wymagała od niego ani rodzina, ani społeczeństwo. Łatwo jest być władcą, trudniej wnikliwym psychologiem.

Łatwo dawać chleb powszedni kobiecie, zgiętej pod jarzmem; trudniej przyjąć za zasadę, że stadło powinno iść zgodnym krokiem na podobój przyszłości.

Łatwo być wierną, kiedy ognisko domowe było twierdzą nie do zdobycia, trudniej dzisiaj trwać w miłości, której więzy zerwać można w każdej chwili.

A zatem wzorowy mąż współczesny powinien posiadać przymioty mężów naszych matek, ale podniesione do najwyższej potęgi. Oprócz tego ze dwie albo trzy zalety więcej!

Widzicie, dokąd zmierzam: w naszych czasach jest dużo złych małżeństw; ale w dobrych jakość okupuje ilość.

Małżeństwo przyszłości mniej egoistyczne od dawnego, bardziej pochłonięte niedomaganiem społecznymi i dążące do ich uleczenia, zarysowuje się już na tle małżeństwa dzisiejszego. Widzę już gdzieś gdzie wysepki, na których mogłoby wylądować i ustalić się społeczeństwo lepsze, niż wczoraj i dziś“.

Pani Janina Catulle-Mendès krótko i zwięźle rozstrzyga problemat małżeński:

„Mężem wzorowym jest ten, którego się kocha. Nacóż się zdadzą najpiękniejsze przymioty, jeśli nie ma między małżonkami tego powinowactwa dusz, tej tkliwości, w której rodzi się szczęście?

Miłość jest wielką czarodziejką, która wszystko przetwarza i wszystko idealizuje, przesłania braki i sieje blaski marzenia na swej drodze.

Zbliża ku sobie jednocześnie istoty najbardziej ze sobą sprzeczne i najpodobniejsze. Wszystko wydaje się nam piękną i słodką sama, widziane przez pryzmat czarodziejski, jaki stawia nam ona przed oczy... Nawet wady w jej świetle wydają się niezwykłymi zaletami. A największe przymioty bez miłości są mdłe i czer“.

Panna Luiza Weiss rzuca czarujący w swej kobiecości paradoks:

„Wzorowym mężem dla mnie jest ten, który uważać mnie będzie za idealną żonę“.

Pan Lucian Descaves:

„Drażliwe zapytanie! Przedewszystkiem mąż wzorowy powinien posiadać dar przystosowania się, który jest jednym z warunków istotnych szczęścia małżeńskiego“.

Pan Henryk Duvernois:

„Pytanie powyższe należy stawiać jedynie kobietom. Tylko ich opinia ma wartość i znaczenie. Zdaje mi się, że skromna zaleta: „grzeczność“ jest może najrzadszą i najpotrzebniejszą“.

PRZEMYSŁ LUDOWY NA WOŁYNIU.

Tkactwo, kilimkarstwo, hafciarstwo.

Tkactwo, to najbardziej upowszechniony ze wszystkich drobnych przemysłów na Wołyniu. Uprawia go przeważnie kobieta. Tkacze na Wołyniu stanowią, wedle bardzo ścisłej statystyki p. Prusiewicza, znanego badacza życia ludu, 32% chałupników tutejszych, zajętych w przemyśle domowym wszelkiego rodzaju.

Podobnie, jak ma się rzecz z garncarstwem, najwięcej gospodarstw, uprawiających tkactwo, spotykamy w pow. Krzemienieckim.

W pow. Krzemienieckim	1565 gosp.
Łuckim	926
Dubieńskim	814
Włodzimierskim	764
Równieńskim	749
Kowelskim	741
Horochońskim	523
Ostrogskim (Zdołbunowskim)	437
Lubomelskim	276
	6795

Wszędzie przeważa on nad innymi przemysłami. Tylko w powiecie Lubomelskim ustępuje pierwszeństwa przemysłowi drzewnemu.

Produktem tkactwa domowego jest wyłącznie płótno, wyrabiane z własnego surowca, — lnu, lub konopi, — różnych rodzajów i grubości, przeważnie jednak dosyć grube, i wazkie. Na prześcieradła trzeba je zeszywać we dwoje. Przed wojną upowszechnione było tkanie we wzory. Płótno takie nadawało się na ręczniki i mogło liczyć na eksport dalszy. Obecnie, zaniechano tych metod tkania, zwłaszcza kunsztu wyginęły gdzieś na dalekich tułaczkach, nie przekazałszy tradycji. Tkactwo podupadło. Bardzo rzadko gdzie spotkać się można jeszcze z tkaniem we wzory. Obowiązkiem szkół zawodowych jest stare to tkactwo wołyńskie wskrzesić i zdobyć dlań zbyt poza granicami Województwa.

Tkactwo ma także pewną swoją obyczajową tradycję.

Pracę tkacką zaczyna się na drugi dzień po święcie „Pokrowia“ Bogarodzicy, 1 października, a przerywa z dniem Zwiastowania N. M. Panny, 25 marca.

Dzienna produkcja wynosi 4—5 arszynów płótna. Dobra robotnica wyprodukuje w ciągu zimowego okresu 500 arszynów, czyli 625 łokci płótna. Roczna produkcja całego Wołynia wynosi 3,098,000 arszynów, czyli 3,872,500 łokci. Cyfry te dowodzą, że praca ręczna sięgać może jednak dosyć pokaźnych sum. Wartość tej produkcji oblicza p. Prusiewicz na 346,791 rb. w złocie, a ponieważ piąty arszyn stanowi dopiero zarobek tkacza, przeto owocem zimowych wieczorów tkaczy wołyńskich jest zarobek 92,477 rb. w złocie.

Całą tę produkcję spożywa rynek wewnętrzny.

Warsztat tkacki, bardzo prostej konstrukcji, przekazywany w dziedzictwie córkom, stanowi jedyne niezbędne narzędzie tej produkcji. Ilość warsztatów tkackich na Wołyniu oblicza zbieracz tych danych na 6,196 sztuk, a ogólną ich wartość na 92,492 rb. w złocie.

Przemysł kilimkarski przetrwał do naszych czasów tylko w miasteczku Wyszogródce (pow. Krzemieniecki), gdzie w 15 warsztatach zajętych jest 18

pracowników, przeważnie mężczyzn. Wyroby swoje sprzedają na jarmarkach w Poczajowie. Przed wojną już przemysł ten na Wołyniu dogorywał. Wojna go dobiła. A miał swoją, niezbyt dawną, ale dosyć świetną przeszłość. Kilimkarstwo tutejsze powstało w połowie XVIII i do połowy XIX wieku nosiło cechy wybitnie wschodnie. Wielkie bukiety kwiatów, rzucane na tło czarne, lub brunatne, a zawsze obramowane odmiennym roślinnym ornamentem, to był szablon tutejszego kilimku. Potem kilimkarstwo nagle jakby schłopiało, przystosowując się do miejscowego stylu. Zaczęto tkać kilimy w paski i drobne kaciaki czerwone z zielonem. Tego typu kilimy wyrabia do dziś Wyszogródka. Dodać trzeba, że dawniejsze kilimkarstwo posługiwało się wełną barwioną barwnikami roślinnymi, które dawały bardzo piękne i bardzo trwałe odcienie wszystkich kolorów.

Główną przeszkodą, która zatamowała rozwój kilimkarstwa po wojnie, był brak wełny. Podczas wojny wyniszczono bowiem tutaj owce w wyższym jeszcze stopniu, niż inne zwierzęta domowe. Obecnie, gdy hodowla owiec zaczyna znów do dawnych norm się zbliżać, odrodzenie kilimkarstwa na Wołyniu byłoby możliwe. Trzeba by jednak zaopiekować się niem, zapewnić mu pewne subsydja, zachęcić nagrodami.

Z rąk ludu przejdzie ono prawdopodobnie do pracowników przemysłu artystycznego. W Krzemieńcu istnieje uczelnia i warsztaty kilimkarskie Marji Sudnikowej, których produkcja nawiązana jest do tradycji lokalnej, i posługuje się ludową ornamentyką. Są jeszcze i inne pracownie kilimkarskie w Krzemieńcu, czy i o ile związane z gruntem miejscowym, nie miałam możliwości stwierdzić. Niektóre wołyńskie szkoły, zawodowe i powszechne, produkują kilimy o charakterze, mniej więcej, ludowym.

Hafciarstwo było niegdyś krasą Wołynia. Czerwieniły się na rękawach „płeczyki“, na kołnierzach „komiry“, u kolorowych koszul gorsy, zwane „manizki“, nadto haftowane ręczniki, chusty białe, lniane, haftowane czerwonymi nićmi (zapotocz) i t. p. Z czasem wprowadzono w tę czerwień nić błękitną. Haft był przeważnie krzyżykowy, choć nie brakło i innych, bardziej skomplikowanych sposobów wyszywania, a każdy miał swoją specjalną nazwę. Rysunek haftu geometryczny, stylizowany, jakby ze wschodniego roślinnego świata. Taki był czysty styl wołyńskiego ludowego hafciarstwa. Aliści przed wojną już zaczęły się wkradać ślady zepsucia. Na zamówienia kupców żydowskich, wprowadzać zaczęto do haftu wielkie róże, brane z drukowanych, niemieckich wzorów, i dziś tych róż dużo po wsiach spotkać można. W ogóle jednak hafciarstwo po wojnie podupadło. Przyczyniła się do tego drożyzna nici, ogólne zubożenie ludności i tendencja, bardzo silnie występująca, do porzucenia dawnych ludowych strojów, a przybrania się w jednostajny miejski kostium u mężczyzn, w barwne modne sukienki wielkiego świata u kobiet. Dokonywa się nawet pod tym względem szczególna i dosyć śmieszna translokacja przedmiotów ubioru. Włościanki zrzucają np. barwne chustki, kwieciste szale swoje. Natomiast skupują je namiętnie żydówki młode i stare i obnoszą po błotnistych uliczkach Łucka, czy Zdołbunowa, czy Dubna. Wieś pozbawia się barwności swojej; miasto staje się barwniejsze.

Wracając do hafciarstwa, pożądane byłoby szkoły, któreby wznowiły na podstawie starych wzorów

dawne hafciarstwo wołyńskie, bardzo bogate w ciekawy i urozmaicony, mimo pozornej jednostajności, ornament. Obecnie najładniejsze rzeczy w tym rodzaju spotkać jeszcze można na starszych osobnikach w północnej części Wołynia: w gminie Szuch we wsi Wielimcze w pow. Kowelskim przechował lud bardzo pięknie starodawne swoje stroje; również we wsi Dubiby, w pow. Włodzimierskim. Ale z tem wszystkim spieszyć się trzeba! Jeszcze parę lat, a szybko postępujące zmiany, bijące ze wszech stron w lud ten nowe prądy, zatrać całkowicie oblicze prastarej jego kultury.

Dla całości obrazu ludowej wytwórczości Wołynia dodać potrzeba, że uprawiających przemysł drzewny, a wchodzą tu najrozmaitsze poszczególne działy, jak bednarstwo, kołodziejstwo, wyrób naczyń domowych, tokarstwo, sitarstwo i t. d., liczy Wołyń około 6 tysięcy. Jest to przemysł żywotny, rozwijający się stale. Na zbyt liczy jednak tylko w obrębie swego Województwa. Ciekawe jest, że żadnych śladów ornamentyki w przemyśle tym wykryć dziś już nie można. Tylko na starych jarzmach spotyka się czasem rzeźbę, co jednak dowodzić nie zdaje, że ten rodzaj zdobnictwa istniał tu niegdyś, a zaginął, jak w całej Polsce, wraz z rozwojem stosunków pańszczy-

żnianych. Trafiają się też stare skrzynie, malowane w bukiety kwiatów.

Dosyć rozpowszechnionem w niektórych okolicach jest koszykarstwo. Koszyki plecie się z wikliny, nieplantowanej bynajmniej, lecz rosnącej dziko, po rozlewiskach wodnych, a gdzieś indziej z długich i cienkich korzeni sosny. Bardziej rozpowszechnionym jest wyrób koszyków z sitowia. W powiecie Krzemienieckim widzieć można w porze letniej ludność całych wiosek zajętą sprzętem sitowia, zarastającego rozległe obszary. Sitowie to, prócz innych użytków, służy na wyrób prostych, gospodarskich koszy.

Jak widać z powyższego, praca wsi na Wołyniu ma rozmaite dziedziny swoje i rozgałęzienia, co świadczy o różnorodności uzdolnień miejscowego ludu. Oczywiście rolnictwo, jak w każdym zakątku ziem słowiańskich, wszystkim tym pracom króluje. Pramacierz Ziemia mocno trzyma lud ten przy sobie. Wszystko, co leży poza jej uprawą, to tylko zajęcia poboczne, dodatkowe, to drobiazg, lekceważony, o którym mówi się z subtelnym uśmiechem. Ona jedna zdaje się mieć prawo do trudu całego życia.

H. Ceysingerówna.

OBIADY NA MASZYNCIE.

(na 3 osoby.)

1) Chłodnik.

Kurczę duszone, młode kartofle.

Omlet z malinami.

Z rana opłukać mały pęczek botwinki, pokrajać go drobno, zalać dwiema i pół szklankami wody, zagotować parę razy, osolić do smaku. Gdy botwinka miękka, dolać łyżkę dobrego, winnego octu, odstawić, aby dobrze ostygło; ugotować też trzy jaja na twardo, (nastawiając w zimnej wodzie, gotować do zagotowania pięć minut, poczem włożyć do zimnej wody, aby skorupki łatwo odstąpiły.) Kurczę, starannie oczyszczone nadziać w sposób następujący. Małą filiżankę tartej bułeczki utrzeć z łyżką masła, garścią koperku i całym jajkiem, osolić, dolać parę łyżek mleka lub wody, nadziać kurczę, zaszyć otwór nitką, skrzydełko i nóżki ładnie podwinąć, związać grubą nitką lub szpagatem, żołądek i wątróbkę najlepiej włożyć do środka wraz nadzieniem, przy duszeniu w rondelku, włożone pod skrzydełko, łatwo się przypalają. W rondelku rozpuścić trzy łyżki masła lub dobrego szmalcu, włożyć kurczę, zarumienić na silnym ogniu ze wszystkich stron, podlać kilku łyżkami wody, przykryć pokrywka. Knoty przykręcić, dusić na wolnym ogniu, często przewracając i w razie potrzeby podlewać po łyżce wody, — około czterdziestu minut. Gdy kurczę miękkie, co można poznać, próbując widelcem, wstawić je wraz z rondlem w gniazdo. Pół kilo młodych kartofli oskrobać, wstawić w ziemnej wodzie, osolić, gotować, gdy są prawie miękkie, odlać, posypać siekanym koperkiem, wstawić w drugie gniazdo. Zająć się chłodnikiem. Pół litra dobrego, zsiadłego mleka, wraz ze śmietaną, ubijając w wazie trzepaczką lub chociaż drewnianą łyżką tak długo, aż się stanie gładkie, jak śmietana, jeśli na mleku śmietana mało, dodać jeszcze półkwaterek, wsypać garstkę koperku i szczypiorku cebuli, usiekanych drobno i jeszcze utłuczonych w morderzu, wlać botwinę ostudzoną, włożyć ogórek, obrany i pokrajany w drobną kostkę, wymieszać

wszystko razem, dodać jajka pokrajane na ćwiartki. Jeśli jest w domu kawałek cieleciny lub szynki gotowanej, pokrajać je w kostkę i dodać do chłodnika. Szyki rakowe też są wybornym dodatkiem, jednak w małych gospodarstwach, gdzie się gotuje na maszynkach, zbyt kosztownym. Jeśli można dostać czystego lodu, włożyć kawałek do wazy, jednak i chłodnik bez lodu jest latem bardzo smaczną zupą. Na omlet rozbić dwa jaja, żółtka utrzeć z łyżeczką maki i czterema łyżkami wody lub mleka, wsypać odrobinę soli, dodać białko ubite na pianę. Na patelni rozpuścić łyżkę sporą masła, wylać jaja, smażyć narazie na silniejszym, potem na wolnym ogniu, nie przewracając, tylko podejmując nożem od brzegów, aby się nie przypalił. Gdy jaja zgęstnieją, położyć spodek malin (dziesięć deka) mieszanych z cukrem na omlet, zwinąć go w połowę, ogień zgasić, przykryć patelnię miseczką, aby omlet nie wystygł. Kurczę rozkładać na sześć części, — to jest oddzielić skrzydełko i nóżki, poczem piersi przekręcać jeszcze na połowę, tak się daje łatwiej podzielić na 3 osoby. Ułożyć kurczę na kartoflach, zalać wszystko masłem od kurczęcia. Podawać chłodnik.

2) Zupa kalafiorowa.

Mostek osmażany z makaronem.

Kompote z wisien.

Rano ugotować kompot z wisien. Szklanke cukru zagotować z dwiema szklankami wody, wrzucić w to wiśnie oczyszczone z ogonków, (pół kilo,) zagotować parę razy, łyżeczkę od herbaty maki kartoflanej rozbić paru łyżeczkami zimnej wody, wlać do kompotu, zagotować raz, wylać do salaterki i zastudzić. Trzy ćwierci kilo mostku cieleciny nastawić z półtora litrem wody, marchewką całą, małą pietruszką i paru gałązkami kopru. Zsumować, osolić, gotować aż mięso zupełnie zmięknie i od kostek odstanie. Mostek wyjąć, ułożyć na deseczce lub półmisku, przycisnąć drugą deseczką, (po uprzednim wyjęciu kostek), dać zastygnać. Ćwierć kilo makaronu grubego drobno poła-

mać, zagotować trzy szklanki wody, osolić, wrzucić makaron, zagotować parę razy, rondel przykryć, wstawić w gniazdo, niech tam dochodzi. Sporą główką kalafiorów, lub dwie mniejsze, (nie potrzebują być ściśle i ładne) podzielić na nieduże kwiatki, rosół przecedzić, włoszczyznę odrzucić, włożyć kalafiora, gotować na wolnym ogniu aż zmiękną. Łyżkę maki rozbić pół szklanką wody, wlać w rosół, zagotować, włożyć dwie łyżki niezbyt kostnej śmietany i łyżeczkę herbatnia masła. Nie gotując, wstawić w gniazdo. (Kto woli, może śmietany nie kłaść, lecz przed podaniem rozbić świeże żółtka w wazie, wlać parę łyżek zupy, dokładnie rozmieszać, na to wylać resztę zupy i wydać, — lejąc całą zupę od razu, możemy zwarzyć żółtko.) Mostek pokrajać w zgrabne kawałki, utarzać w mące, potem w rozbitem jajku, (może być samo białko, pozostałe od żółtka, użytego do zupy,) nakoniec w tartej bułeczce. Na patelni rozpuścić dużą łyżkę smalcu, (na masło się przypala bułeczka,) zrumienić z obu stron mostek. Makaron, który tymczasem musiał dojść, odlać, ułożyć na nim mostek, połać tłuszczem z patelni, polanym paru łyżkami wody i zagotowanym razem, przykryć miseczką, aby mięso i makaron nie ostygły i podawać zupe.

Pani Elżbieta.



PRZEKĄSKI AMERYKAŃSKIE.

Koszyczki z pomidorów. Ładne, duże, dojrzałe, ale zupełnie twarde pomidory przekrajać w taki sposób, aby z górnej połowy odciąć po bokach dwa paski, a w środku pozostawić pasek, który ma uformować rączkę koszyczka. Łyżeczką wyjąć ziarnka, napęlić po czterech rogach białkiem, z jaj na twardo ugotowanych, usiekanem, żółtkami twardymi, przetartymi przez sito, kawiozem, drobno usiekanem mięsem homara, na środku (pod rączką koszyczka), położyć łyżeczkę sosu majonezowego. Każdy koszyczek postawić na kruchym liściu, zielonej sałaty i podawać bardzo zimne. Dostyć pracowite danie, może być jednak smaczne. Wobec drożyzny kawioru i zupełnej prohibicji homarów, można je zastąpić usiekanym śledziem i rakowemi szyjkami.

Przekąski z ogórków. Duży, kruchy ogórek obrać, pokrajać w grube kawałki, łyżeczką usunąć ziarnka. Na kruchym liściu sałaty położyć plasterki pomidora, na to krążek ogórka, środek napęlić mięsem kury, usiekanem i zmieszanem z takąż samą ilością sosu majonezowego, posypać po wierzchu siekanymi kaparami. Podawać bardzo zimne.

Szynka z jajami. Czwierć kilo szynki usiekać drobno. Pięć jaj ugotować na twardo, białka oddzielić od żółtek. Łyżkę szczypiorku usiekać jaknajdrobniej i ubić z żółtkami, solą, papryką i majonezowym sosem na gęstą masę. Dodać siekaną szynkę i drobno posiekane jaja, wymieszać, porobić gałki rozmiaru włoskiego orzecha. Podawać na przekąskę z sosem majonezowym.

Chcąc zaznajomić czytelniczki Bluszczu z kuchnią amerykańską, wybieram te przepisy, które się dadzą

u nas wykonać i które mi się wydają bardziej odpowiednie do europejskich gustów.

Jaja na grzankach. Ładne, duże, owalne grzanki z bułki obsmarzyć lekko z obu stron na masle. Położyć na każdej pół jaja twardego, przykryć plasterkiem gotowanej, przerastającej szynki, połać lekkim bechamelem, zrobionym z masła, maki i mleka słodkiego. Bechamel ten musi być bardzo gęsty, aby nie spływał z grzanki. Osypać po wierzchu grubo serem ostrym i wstawić do gorącego pieca, na ruszt, aby tylko zgóry zrumienić grzanki. Podawać bardzo gorące.

Jaja po francusku. Obrać z łupin sześć jaj, na twardo ugotowanych, oddzielić białka od żółtek, białka pokrajać w długie paski, jak makaron drenowy. W ładnej nelsonce, płaskim platerowanym rondelku, lub innym naczyniu, mogącem być podanem wprost do stołu, zasmażyć dużą łyżkę dobrego masła z łyżką maki, rozprowadzić trzema szklankami mleka lub śmietanki, zagotować, wsypać w to białka pokrajane, posolić, popieprzyć białym pieprzem, rozegrzać mocno, nie gotując, aby białka nie stwardniały. Żółtka prędko przetrzeć przez sito na potrawę, aby uformować grubą, żółtą puszystą masę. Podawać natychmiast, aby potrawa nie ostygła. Wygląda bardzo elegancko i ma oryginalny smak.

PONCZ MROŻONY MALINOWY.

Kilo malin zalać taką ilością wody, aby tylko objęło, zagotować na silnym ogniu, zcedzić przez worek płócienny, czy flanelowy, dodać tyle wody, aby tego płynu było pełnych pięć szklanek, wsypać kilo cukru, zagotować raz, zszumować, dodać łyżeczkę soli cytrynowej, odstawić, dać dobrze wystygnać. Kto lubi bardzo słodko, może zamiast kilo (czterech szklanek) wziąć pięć szklanek cukru. Gdy zimny, przelać do maszynki i uważać, jak zwykle, gdy już zaczyna gęstnieć; wtedy wlać pół szklanki białego wina, (typu „Sauternes”, może być i owocowe) i duży kieliszek likieru „Kirschu” lub „maraschino”. Pokręcić jeszcze minut kilka, włożyć trzy białka ubite na pianę, wymieszać jaknajdokładniej, poczem łopatką wewnętrzną z maszynki wybrać, wyrównać łyżką masę, później zamknąć i pozostawić tak w lodzie z solą godzin parę. Poczem tak mocno, jak lodów, zamrażać nie należy. Podaje się go w płaskich kieliszkach od szampana, lub w szklaneczkach do piwa, szampankami zwanych. Tej ilości starczy na 15—16 porcyj.

SOK MALINOWY, ORZEŻWIAJACY.

Maliny, w miarę, jak je można zebrać lub nabyć, ugniatać mocno drewnianą łyżką i składać w duży szklany słój, stojący na słonecznym oknie, słój przykrywać talerzem, a gdy się zupełnie wypełni, zawiązać woskowym papierem i nakłuć grubą igłą ten papier. Brać na ten sok, jak na każdy inny, maliny leśne, jako bardziej aromatyczne, — tylko w braku ich można użyć malin ogrodowych. Po paru tygodniach, gdy maliny zbledną i wypłyną na wierzch, a fusy i męty osiadą, — czysty, klarowny sok scedzić. Na każdy litr soku wziąć kilo cukru. Cukier wsypać w miedziankę z sokiem, dokładnie wymieszać, zagotować na silnym ogniu, zszumować, gotować jeszcze na wolnym ogniu. Na każdy litr soku dodać pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Sok natychmiast odstawić, ostudzić i zlewać w czyste, suche butelki, zakorkować mocno, osmolić i trzymać szyjkami w dół w suchym piasku, w piwnicy. Sok ten jest kwaśniejszy od innych, jest więc odpowiedni do picia z wodą podczas upałów.

Pani Elżbieta.

BUDYŃ Z WĄTRÓBKİ CIEŁEJ.

Osiemdziesiąt deka (dawne dwa funty) wątróbki cielej, obciągnąć z błony, utrzyć na tarce lub przepuścić przez maszynkę. Dwie duże cebule, drobno usiekane, przesmażyć, nie rumieniąc, na masle, ostudzić, dodać do wątróbki, dodać do tego czterech bułeczek (warszawianki), wymoczone w mleku i przepuszczone przez maszynkę, ucierać wszystko razem, dodając po jednym pięć świeżych jaj. Osolić do smaku, dodać tartej gałki muszkakatelowej. Formę budyniową wysmarować masłem, wysypać bułeczką tartą, masę włożyć, zamknąć szczelnie. Do rondla z wrzącą wodą wstawić formę, uważając, aby woda dochodziła do połowy formy. Gotować od chwili zagotowania półtorej godziny. Wyłożyć na półmisek i podawać na gorąco z sosem rumianym kaparowym, cytrynowym lub korniszonowym.

KALAFJORY ZAPIEKANE POD BECHAMELEM.

Mniej ładne i mniej ściśle główki kalafjorów ugotować w wodzie z solą i łyżeczką cukru, półmisek metalowy posmarować masłem, na tem ułożyć kalafjory tak, aby formowały, jak gdyby jedną wielką główkę. Łyżkę sporą masła przesmażyć na biału z dwiema łyżeczkami mąki, rozprowadzić słodkiem mlekiem, lub śmietanką, zagotować, uważać, żeby sos ten był tak gęsty, aby za ledwie spływał z łyżki, osolić, wysypać kawianą łyżeczkę cukru i kto lubi, odrobinę utłuczonego kwiatu muszkakatelowego. Sosem tym pokropić równo babkę kalafjorową, osypać grubą warstwą tartej bułeczki, zmieszanej po połowie z ostrym, tartym serem, skropić masłem i wstawić na kwadrans do pieca dla zrumienienia. Podawać gorące, gdyż bechamel stojąc dłużej, opada i staje się niepozorny.

DOBRE RADY.

Chcąc pozbyć się piegów, które zwłaszcza osoby, o bardzo delikatnej skórze, z łatwością dostają w lecie — trzeba roztrzeć świeże poziomki przykładając na noc do twarzy — rano zmyć je zimną wodą.

Osobom, które cierpią na napady kaszlu, „aż do łez“ męczącego radzę wziąć łyżeczkę do czarnej kawy czystej gliceryny, zmieszać ją z syropem od jakiegokolwiek kompotu i wypić od razu. Kaszel momentalnie uspokoi się, a po kilku użyciach tego środka najbardziej zadawniony kaszel ustąpi.

Korespondencje działu praktycznego.

W odpowiedzi na zapytanie, jakich środków używać należy przeciwko chwianiu się i wysuwaniu zębów — zaznaczyć muszę, że bez zbadania każdego wypadku, przez lekarza dentyście, skutecznej rady udzielić niepodobna, gdyż chorobę tę, której coraz więcej osób podlega, wywołują bardzo różne przyczyny. — A więc: 1) tworzenie się osadu przy nasadzie zębów, przeważnie, fako wskutek niedość starannego i niehigienicznego utrzymania jamy ustnej; osad taki, który jest doskonałym podłożem dla bakterii, tworzy się zresztą i przy najstaranniejszym czyszczeniu zębów w wypadkach chwilowego większego osłabienia organizmu, np. podczas przewlekłego stanu gorączkowego i t. p.; 2) ogólny zły stan zdrowia i zła przemiana materii; 3) nieodpowiednie odżywianie się; 4) artretyzm; 5) niedokrwistość; 6) brak zębów w jednej szczelce, powodujący stopniowe wysuwanie się przeciw leżących zębów, i wiele innych.

Przed niedawnym czasem zęby takie usuwano i zastępowano je sztucznymi, — dziś jednak w ogromnej większości wypadków daje się je uratować, o ile tylko chory zwróci się wczas do lekarza specjalisty. Lekarze-dentyści stosują różne zabiegi, zależnie od podłoża choroby i stopnia jej rozwoju, a mianowicie: leczenie działań przez zastrzyki różne, oczyszczenie, masaż dziąseł, płukania i t. p. Rozumie się samo przez się, że skuteczność leczenia zależy w bardzo znacznym stopniu od tego, aby choroba stłumić w zarodku i dlatego w wypadku zauważenia pierwszych objawów chwiania się zębów, obnażenia sztyjek, opuchnięcia i usuwania się dziąseł, należy jaknajrychlej zwrócić się do lekarza dentystry.

Na zapytanie, jaka jest dobra lekarz-dentystka w Warszawie, odpowiedzieć można, że w tej dziedzinie dużo jest dobrych specjalistek. — Osobiście polecam: Mokotowska 19, tel. 139-43. Dr. dent. Wisznicka.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Prenumeratorka z Borysławia.

Proszę spróbować na cerę Pani higieniczny „Mój Krem“ i „Mój puder“, doskonale się bowiem nadaje do suchej skóry. Na wysychanie warg wcierać „Mój Krem“ dwa razy dziennie aż do wygojenia.

Zocha — K. i Anna N.

Plamy na twarzy bardzo często występują, zwłaszcza w ciąży, przyczyna nieznana. Często towarzyszy temu choroba wątroby. Leczyć za pomocą silnych środków złuszcających, nigdy niema pewności, że po złuszczeniu skóry nie utworzy się nowa plama brązowa. Stosować silnie złuszczone środki jedynie pod kierunkiem lekarza. Spróbować „Maść moją na piegi“ przez sześć tygodni — rano „Mój Krem“ może dać bardzo dobre wyniki.

N. Lew.

Środek na piegi. Odpowiadam wszystkim Czytelniczkom jednocześnie. Piegi polegają na odkładaniu się barwnika w naskórku; występują zwykle na wiosnę i w lecie. Osoby, mające skłonności do piegów, nie powinny narażać się na działanie promieni słonecznych, natomiast używać równie zdrowych kąpiei powietrznych. Kąpiele słoneczne, jedynie dopuszczalne, z twarzą zakrytą parasolką lub woalką koloru czerwonego. Niema środka na radykalne usunięcie piegów. Wszystkie, nawet najlepsze, działają tylko chwilowo. Roentgen i lampą kwarcową działają także tylko na pewien czas, złuszczać naskórek. Stosowanie reklamowanych środków na piegi może wywołać podrażnienie skóry i przyspieszyć tworzenie się zmarszczek przedwczesnych. Mój środek na piegi wysłałam za zaliczką pocztową; cena zł. 6, porto zł. 1. Stosować należy po umyciu twarzy letnią wodą na noc, przez okres 6 tygodni, aż piegi znikną. Następnie, jako środek ochraniający na dzień, używać „Mój Krem“. Z chwilą, gdy piegi na nowo się pojawiają, należy na nowo rozpocząć stosowanie maści na piegi.

Niecierpliwa, H. G.

Z powodu nawalu materiału, nie odpisuję na pytania, jeśli na identyczne, odpowiedź była już zamieszczona, mając nadzieję, że Pani czytają wszystkie odpowiedzi i korzystają z tych, które można dla siebie zastosować w kwestjach pielęgnacji cery.

Mycie twarzy gorącą wodą nie mogło spowodować rozszerzenia porów, uwidoczniło je tylko, gdyż gorąca woda usunęła tłuszcz. Dopiero stan taki można leczyć, wycierając 2 razy dziennie spirytusem rezorcynowym 2%, na dzień stosując „Mój Krem“. Po jakimś czasie rezultat będzie widoczny.

Gdynia — Czytelnia „Bluszczu“.

Przy opalaniu się, cudownie działa „Mój Krem“ — wygładza skórę, wydelikaca. Zwłaszcza nad morzem, gdy są upały, skóra ściąga się, pierzchnie, wtedy to „Mój Krem“ przeciwdziała i wygładza tworzące się zmarszczki. Sposób użycia podany przy opakowaniu.

Wilno Z. K.

Masaż należy wykonywać umiejętnie i bardzo indywidualnie — żaden aparat nie odpowiada tym warunkom.

Wilno. Czytelnia „Bluszczu“.

Czy kobieta umysłowo pracująca może dbać o swój wygląd estetyczny? Mojem zdaniem koniecznie może i powinna. Należy wytworzyć harmonię pomiędzy stroną zewnętrzną a wewnętrzną, duchową kobiety. Jakich perfum używać, trudno komuś radzić, nie znając typu danej osoby. Perfumy należy dobrać wedle upodobań kwiatowych. Jest to instynkt, który zwykle daje dobre rezultaty. Prywatny list wysłałam.

We wrześniu napiszę o codziennej toalecie kobiety współczesnej.

Łuska.

Przy opalaniu się bardzo często, pod wpływem słońca i wiatru, następuje łuszczenie się skóry na twarzy. Przy łuszczeniu skóry najlepiej robi Pani używanie „Mego kremu” — cena zł. 6. „Mój puder higieniczny” — 4 zł., porto 1 zł. Sposób użycia podany przy opakowaniu. Przy łuszczącej się skórze nie używać wody gorącej, lecz letniej. Należy myć twarz rano i wieczorem. Miejsca, gdzie są wagi, wycierać spirytusem rezorcynowym 2%.

Zmartwionej.

Pocenie się jest jedną z bardzo przykrych dolegliwości tak dla mężczyzny, jak i dla kobiety, zwłaszcza, jeśli pot ma przykry zapach. Pierwszą zasadą przy poceniu się jest zachowanie idealnej czystości. Mycie się gorącą wodą codziennie, ewentualnie kąpiel całego ciała z dodaniem soli aromatycznych Karpińskiego. Przy miejscowym leczeniu należy pocąć się miejsca zmywać wodą — na litr wody łyżeczka spirytusu kamforowego, lub łyżka olejku gorczycowego. Dobre wyniki również daje moczenie miejsc pocących się w formalinie — łyżka na miednicę. Po osuszeniu pudrować Galmaninem Karpińskiego.

Eli Kwiatkowskiej.

Środek na piegi. Odpowiadam wszystkim Czytelniczkom jednocześnie. Piegi polegają na odkładaniu barwnika w naskórku. Piegi występują na wiosnę zwykle i w lecie. Osoby, mające skłonność do piegów, nie powinny narażać się na działanie promieni słonecznych. Należy wystrzegać się kąpieli słonecznych, natomiast używać równie zdrowych kąpieli powietrznych, względnie przy przebywaniu na słońcu zasłonić twarz parasolką lub woalką koloru czerwonego. Niema radykalnego środka na usunięcie piegów. Wszystkie, nawet najlepsze, działają tylko chwilowo. Roentgen i lampa kwarcowa działają także tylko przez pewien czas, złuszczać naskórek. Stosowanie reklamowanych środków na piegi może wywołać podrażnienie skóry i przyspieszyć tworzenie się zmarszczek przedwczesnych. Należy być bardzo ostrożną przy wyborze maści na piegi.

Mój środek na piegi wysyłam za zaliczką pocztową zł. 6, porto 1 zł. Stosować należy po umyciu twarzy letnią wodą na noc, przez okres 6 tygodni, aż piegi znikną. Następnie, jako środek ochraniający na dzień, używać „Mój Krem”. Z chwilą, gdy piegi na nowo się pojawiają, należy na nowo rozpocząć stosowanie maści na piegi. Maść na piegi zamówić można za zaliczką, cena 6 zł. „Mój Krem” 6 zł., porto 1 zł. Adres: Kruca 31, dr. J. Świtalska.

ODPOWIEDŹ OGÓLNA.

Ponieważ najwięcej jest pytań, co robić na skórę tłustą, suchą i na pojawiające się z wiosną liszaje i opierzchnięcia, przeto odpowiadam na nie ogólnie.

Rozróżniamy trzy typy skóry: 1) suchą, 2) tłustą i 3) pośrednią.

Pielęgnacja skóry suchej powinna polegać na tym, że należy myć twarz w wodzie letniej, natrzeć rano kremem i zapudrować lekko — wieczorem, po umyciu wodą letnią, zastosować tylko krem.

Skórę tłustą myć rano i wieczorem wodą gorącą, spłukać zimną. Rano stosować wytarcie twarzy spirytusem rezorcynowym 2% — wieczorem — spirytusem salicylowym 2% — na dzień natrzeć kremem i zapudrować, na noc tylko zapudrować.

Najczęstsza skóra pośrednia, t. j. forma częściowo tłusta, częściowo sucha, wymaga następującego postępowania: na noc 2 razy w tygodniu, po myciu letnią wodą, wytrzeć twarz spirytusem rezorcynowym, rano, po myciu letnią wodą, codziennie wetrzeć „Mój Krem” i lekko zapudrować „Moim pudrem higienicznym”. Paradoksem się zdaje stosowanie przy łojotoku tłustego kremu. Jednak tak nie jest, bo łój ze skóry ściągamy środkami odtłuszczającymi i gdybyśmy nie stosowali kremu, skóra by się łuszczyła i tworzyłyby się zmarszczki. Krem wygładza i chroni cerę przed zmarszczkami.

W lecie przebywamy więcej na świeżym powietrzu i skóra twarzy, narażana będąc na zmiany atmosferyczne, jest bardziej skłonna do powstawania liszajów. Należy wtedy stosować „Mój Krem” i lekko zapudrować. Zamawiać można: „Mój Krem” 6 zł., „Mój puder higieniczny” 4 zł., porto 1 zł.

„Mój puder higieniczny” wysyłamy jedynie w kolorze naturalnym, nadając się na każdą skórę. Inne kolory zamawiać należy osobiście, dobierając odcień, gdyż źle dobrany, daje fatalny wygląd.

Opis sukien i robót do № 34.

740. Suknia z pelerynką z kasha, koloru bois de sore.
741. Suknia z georgette'y lila z koronką złotą i płaszcz z czarnej tafty.
742. Suknia z deseniowej georgette'y, rękawy i szarfa gładkie.
743. Płaszcz z sukienka szarego dla dziewczynki dwunastoletniej.
744. Płaszcz granatowy dla dziewczynki czternastoletniej.
745. Suknia z popeliny rezedowej, objęta ciemniejszą aksamitką.
746. Suknia z tafty — plisy ciemniejsze.
747. Suknia z kasha granatowego — spódniczka częściowo plisowana.
748. Suknia wełniana koloru bois de rose.
749. Sukienka z wełny w kratę i gładkiej, dla dziewczynki dwunastoletniej.
750. Paltocik sukieny dla dziewczynki dziesięcioletniej.
751. Angielska bluzka z surowego jedwabiu.
752. Kołnierzyk z organdyny, objęty ciemną plisą.
753. Kołnierzyk z surowego jedwabiu z żabotem z georgette'y.
754. Kamizelka z sukienka koloru bois de rose.
755. Sukienka z kreponu deseniowego dla dziewczynki dziesięcioletniej.
756. Sukienka z dwóch materiałów dla dziewczynki dziesięcioletniej.
757. Ubranko wełniane dla chłopczyka siedmioletniego.
758. Palto z czarnego zamszu dla chłopca czternastoletniego.
759. Palto z angielskiego materiału dla chłopca dwunastoletniego.
760. Przód bluzki — haft kolorowy.
- 761 — 762. Motywy do wyszycia na sukni.
- 763 — 764 — 765. Wzory haftów na bieliznie.
- 766 — 767. Narożniczki husteczek.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących: palto, lub suknia fantazyjna zł. 3,50
suknia zwyczajna „ 2,50
bluzka „ 2,00
formy dzieciinne „ 2,00
bielizna „ 1,50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszcza” w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrús — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszcza”, nie wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zaewne wiele prenumeratorów nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.